



PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie.

We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych po cenie rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5, rocznie rs. 10.

Wydawca **MICHAŁ GLÜCKSBERG.**

EKSPEDYCJA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY

Ulica Włodzimierska Nr. 4.

W Cesarstwie Austriackiem we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80.

W Krakowie: u D. E. Friedleina, kwartal. flor. 2 cent. 75 na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskim: u Leitgebera i Spół. kwartal. 5 marek.

DOBRA MATKA.

Dobra matka—to ta, która dziecko swoje kocha gorąco, głęboko — która kocha je nie samolubnie, to jest nie chce używać samej tylko słodyczy, płynącej z uczucia jej miłości, ale pracuje nad wychowaniem — uszlachetnieniem serca, umysłu, młodego, przejęta ważnością macierzyńskiego obowiązku, bo każda matka powiedzieć sobie powinna, jak Ewa:—Otrzymałam człowieka przez Boga... Na pomoc wielkiemu obowiązkowi, który tu na nią spada, dostaje ona od natury uczucie głębokiego przywiązania do tej istotki maleńkiej, słabuchnej, która bez jej starań, bez jej opieki tkliwej zginąć-by musiała, a uczucie to wrodzone, którego nie doznaje tylko egoistka, kobieta zimnego jak lód serca, nie zmniejsza się w jej piersi z biegiem czasu, ale, przeciwnie, wzrasta, doskonali się i mężnieje, bo dobra matka zaczyna z kolei być karmicielką i piastunką ducha dziecka swego. Wychowanie dobre, oparte na idei szlachetnie pojętych przeznaczeń człowieka, zaczyna się musi w kolebce, gdzie już samowola, stająca się z kolei samolubstwem, zaczyna kielkować, zaczyna się objawiać, jeżeli wychowanie nie podda jej od pierwszego dzieciństwa pod nakaz moralnego prawa, które każe nam szanować bliźnich naszych i więcej, niż szanować — kochać ludzi tak, jak samych siebie.

Aby uczucie to mogło się zrodzić w sercu młodziuchnym, trzeba matce dobrej posiadać je i praktykować w biegu codziennego życia cnotę ludzkości, to jest uszanowania człowieka w każdej zbliżającej się do nas jednostce, a wtedy tylko zdobędzie się najpierw nawyknienie, z którego wytworzy się zwolna cnota, będąca podwaliną

wszystkich dobrych, szlachetnych, wzniosłych stanów serca ludzkiego. Jest bajka, nie pamiętam już którego z pisarzy, o dziecku i zwierciadle, w którym przeglądająca się istotka młodziuchna najpierw uśmiechała się wesoło do widzianej tam twarzy i odbierała wzamian uśmiech miły, ale gdy z kolei fantazya dziecinna kazała zmarszczyć czoło i spojrzeć zpod niego ponuro, odbite w zwierciadle widmo marszczyło się również, ukazując wzrok nieprzyjazny, aż przyszło do tego, że szkło zwierciadła zostało stłuczone, piastki dziecka do krwi skaleczone. Taksamo — tak zupełnie dzieje się w życiu. Mimo wszystkiego co się mówi i pisze o niewdzięczności ludzkiej, ten człowiek zbiorowy, który się zowie społeczeństwem, sprawiedliwy jest i rozumny; umie czić zasługę, szanować cnotę, więc dobra matka jest w stanie zapewnić dziecku swemu przez wychowanie szczęście, oparte na wewnętrznym spokoju ducha i szacunku ludzi dobrej woli.

Przecież człowiek w życiu cierpieć musi. Jest on Adamem wypędzonym z raju, który zostawił mu tylko po sobie ideał szczęścia w używaniu spokojnego, żadną burzą namiętności nie zakłóconego istnienia i dobra matka wiedzieć o tem musi, że dziecko jej nie może mieć wśród świata wyjątkowego jakiegoś istnienia—że będzie mu trzeba ścierać się z losem, z ludźmi, z sobą samym— w żądach, pragnieniach swoich, z których jedne powinien pokonać, złamać w sobie, z drugich uczynić ideał wielki, lecz daleki, świecący istnieniu jego zwysoka, i dlatego-to do najpierwszych obowiązków dobrej matki zaliczyć trzeba takie wyrobienie w dziecku swoim charakteru, któreby dało mu wolę silną—skałę oparcia wśród burz życia. Człowiek słabej woli musi być z konieczności chwiejnym, wobec trudnych okoliczności życia żadnego silniejszego oporu z siebie wydać niezdolnym, aż stanie się w końcu ta rzecz smutna, że przy nieczem mocno stać, więc nie prawdziwie kochać nie umie, na co dobra matka nigdy przy-

stać nie może i nie przystaje. Siegnie do głębi jego ducha i zatarga, choćby to było dla jej dziecka cierpieniem, bo do cech dobrej matki to zaliczyć trzeba, że nie ma ona tej miękkości uczucia, która obezwładnia i sprowadza zaślepienie, czyniące tyle matek, niby kochających, niedobremi matkami. Tylko miłość pogańska, samolubna, uciechy własnej szukająca, miała oczy zawiązane; miłość chrześcijańska, kochająca duszą duszę: podniesiona nad samolubstwo, nad chęć miłego używania, ma zawsze i we wszystkich stosunkach ludzkich wzrok szeroko na światło otwarty. Dobra matka jest też zawsze jasnowidzącą, niebezpieczeństwa przewiduje i drogę im zagradza, nie rozpieszcza więc dzieci swoich, chowa je do pracy, do trudu, bo wie, że tak jej syn, jak córka, mogą, a bogdaj czy nie muszą, spotkać się z walką, z próbą sił ducha swego—i przez miłość własną, przez prawdziwą miłość macierzyńską naucza ich, jak cierpienia znosić, nad cierpieniami tak panować, aby nie rozbroiły nas z pancerza tych cnot ewangelicznych, które są wiarą, miłością i nadzieją człowieka.

Przekonania w dziecku wyrobić — jest jednym z najważniejszych zadań wychowania, i dlatego obok nakazów posłuszeństwa w spełnianiu obowiązków, powinna jeszcze matka dobra czuwać, aby brała tu udział moralna strona istoty młodej: aby duch jej przystawał na to dobrowolnie, co było nakazem—aby poznał piękność cnoty i ukochał ją, bo bez tego cnota ta będzie zawsze martwą, nieprzynośzącą nic wewnętrznemu życiu spełniającego ją człowieka. Wyrabia to i nawyknienia dobre, co ma tu znaczenie niemałe; czy przecież zdołają one ostać się w chwili jakiejś wyroczonej, gdy namiętność nderzy na ich pancerz kruchy, gdy krew zakipi w żyłach i człowiek musi walczyć z duszą swoją, aby ostał się przy enocie, przy obowiązku? Żaden czyn wielkiej ofiary, żadne poświęcenie prawdziwe, żadna wyższa, bohaterska cnota nie rodzi się z przyzwyczajenia, i potrzeba tu człowiekowi

silniejszego bodźca dla ducha. Czy Leonidas pod Termopilami działał przez przyzwyczajenie? Czy siostra miłosierdzia, oddająca życie całe ofiarnej, ciężkiej pracy przy łożu nędzy i cierpienia, z przyzwyczajenia czynić to może? Siła, której tu trzeba, z innego źródła się rodzi i musi mieć inne podniety. Potrzeba tu przekonania, potrzeba tu miłości szlachetnego ideału życia, wiedzonego dostojnie—potrzeba obok tego władzy nad sobą, która nie rodzi się w nas na zawołanie, bo wyrabiać ją w sobie musimy przez zwyciężenie samolubstwa, przez pokonanie chęci używania jedynie wrażeń miłych, wrażeń przyjemnych. Już Pestalozzi nakładał wagę wielką na wytwarzanie w dzieciach, bardzo nawet młodych, takiego stanu ducha, któryby kazał im kochać i pełnić cnotę z przekonania, z umiłowania jej jako piękna moralnego, i nad osiągnięciem tego skutku pracował usilniej, niż nad wszelką nauką inną. Porankami letniami, zanim dzieci zmęczyły się nad książką, lub w chwilach odpoczynku południowego, siadał z nimi w ogródku i opowiadał im o ludziach uczciwych, o mężach sławnych, malując przytem barwami żywymi piękność cnoty, dostojność takiego stanu ducha, z którego jedynie zrodzić się ona może. Dzieci, słuchając, wzruszały się, wyobraźnia i uczucie zarówno były zajęte, podniecone i budziło się w piersiach tych istotek młodych pierwsze wzruszenie ukochania szlachetnych stron istnienia ludzkiego—przekonania, które potem stałyby się dla ich istnienia wśród prac i prób życia kotwicą moralnego oparcia.

Matka dobra tak postępować powinna: wzbudzić najpierw w piersi dziecinnej miłość cnoty, wstręt od złego, a nie będzie już potem w życiu człowieka szamotał się bolesnych i nawet wtedy, gdy namiętność uderzy na pancerz jego obowiązków, znajdzie się tu pomoc opatrna, która upaść mu nie pozwoli. Anioł prawy i anioł lewy gra rolę swoją w każdym istnieniu ludzkim, i najciszej najpokorniej pędzone życie mieści dramata wytwarzające się z walki tych dwóch sił przeciwstawiających się sobie. Przykład dobry ułatwia przecież niezmiernie siłę oporu przeciwko temu, co nas porywa — pociągać za sobą nie powinno; człowiek naśladuje nieraz mimowolnie tych, którzy stanowią jego otoczenie, układa się do ich poziomu i przy słabym, lub jeszcze niewyrobnym charakterze bezwiednie staje się takim, jakimi są ci, z którymi przestaje. Matka dobra powinna z wielką pilnością czuwać nad otoczeniem, nad stosunkami dziecka swego — nad stanem ducha tych, z którymi wiąże go zażyłość bliższa. Spartanie, aby obudzić w młodzieży wstręt od życia folgującego niskim, nędznym namiętnościom, ukazywali młodzieży pijanych Helotów; lepiej jest przecież, aby młodość widziała szlachetne przykłady cnoty, mężstwa duchowego, któreby rozżarzały w jej piersi ogień święty, dawały uniesienia górne, porywające tak za sobą ducha, jak orzeł Ganimeda. A rodzice zwłaszcza jakże czuwać tu nad sobą powinni, aby nie gorszyć dzieci swoich objawami samolubstwa, małości ducha, poziomuści pragnień! Matka wtedy tylko może się nazywać dobrą, gdy nigdy nie stała się dla tych drogich sobie istot kamieniem obrazu: gdy widziały ją zawsze wśród większych czy mniejszych spraw życia uczciwą, z godności moralnej nie rozebraną, bo cóż, jeżeli przywykną do tego, że miłość może się w nas rozstać z dobrem — z czystego piękna urokiem świetlanym?

Dziecko każde jest tak delikatne duchem i uczuciem na wpływy wrażeń dotkliwych, jak ptaszyna, która ledwie coś puszku ma na sobie. Ludzie nie przypuszczają nieraz, jak wrażenia doznane odbijają się na sercu, na wyobraźni dziecinnej. Jeżeli matka dobra otula je starannie przed chłodem, słoni przed upałem, powinna również czuwać nad wrażeniami, które na dziecko jej uderzać mogą. W domu, gdzie chowa się dziecko, wszystko powinno być czystem, uczciwym, szlachetnem. Dobra matka, jak dobry pasterz, który daje życie swoje za powierzona mu trzodę, powinna pod karą winy, pod karą grzechu czuwać dniami i nocą, aby się tu nie dostało nic, co może skalać, poniżyć, być zgorzeniem, przedczesną wiedzą złego. Niema tu różnicy między córką i synem, tak jak niema, nie powinno być, różni-

cy w troskliwości i miłości macierzyńskiej dla jednego i drugiego dziecka. Wychowanie córki zdaje się dla matki łatwiejszem; zarówno przecieć należy jej szczepli w serca młode te wszystkie cnoty, które tworzą moralny grunt życia człowieka, a choć każde z tego dwojga pod innym kątem światła życiowego widzieć je będzie, oboje do jednego ideału dobra i piękna ramiona wyciągać muszą. Matka daje też podstawę pierwszą życiu ducha tak syna, jak córki, i syn ten, jakkolwiek daleko poniesie go od niej życie, weźmie ze sobą to, co zaszczerpiła mu w sercu, co w piersi jego wlała, i można też na uspokojenie jej niepokojów trwożnych, zawołać:

O matko dobra, jeśli w synu twoim
Uznasz czystego i wzniosłego ducha;
Jeżeli z dumy szlachetnej spokojem
O życia próbach i zawodach słucha;
Jeżeli czoło jego promienieje
Na myśl, że ludzie niebios sięgać mogą,
O matko dobra, miejże ty nadzieję,
Że syn twój pójdzie górną życia drogą!
Nie będzie klękał przed bożyszczem złota,
Nie będzie pelzał ścieżkami krętymi,
A ducha jego szlachetna tęsknota
Nie da poziomo przyrość mu do ziemi...
I będzie piękny, dumny i wspaniały,
Będzie szczęśliwy uczuć swoich mocą,
A duchy dobre będą go kochały
I zstępowały do niego z pomocą.

M. I.

M G Ł A.

Powieść oryginalnie napisana

przez

M. Gawalewicza.

(Dalszy ciąg).

Kremplowi ten dosadny sposób wyrażania się i porównań Grotwicza nie smakuje, zwłaszcza kiedy mówi o kobietach; zdawałoby się, że mu zależy na tem, aby się popisywać cynizmem i szorstkością. Znać jakąś gorycz ukrytą pod tem lekceważeniem i sarkazmem, z jakim mówi zwłaszcza o pannach.

— Czy pan miałeś siostrę? — zapytuje go Krempel.

— Siostrę?... a było tam coś takiego.

— A matkę pan miałeś?

— Z konieczności.

— No to przynajmniej ze względu na te dwie kobiety mógłbyś pan o innych mówić z większym szacunkiem.

Grotwicz udaje, że się śmieje, ale mu ta nauka poszła po nosie.

— Zapomniałem, — prawda, — że pan jesteś średniowiecznym rycerzem wobec dam; — mówi z przekąsem, — nie cofam, co powiedziałem, ale zamykam gębę i tego tematu przy panu więcej nie dotknę.

— Dajcie pokój — wtrąca się Gajski — znów wasz czyniacie się kłócić.

Rzuca przy tem znaczące spojrzenie na Grotwicza, jak gdyby mu chciał powiedzieć:

— Nie zważaj na to!... nie znasz go, czy co?... to przecieć nie nasz człowiek.

Zeno zmruża oko i ze swoim ironicznym uśmiechem przypatruje się jedzącemu Kremplowi, jakby się litował nad jego apetytem i zdrowymi zębami, które dogryzają kotlet z jakąś taką zajadłością, jak gdyby mięso było z Grotwicza, nie z cielaka.

Nastaje chwila ciszy, nikt się nie odzywa, rozmowa ponownie skleić się nie może.

— Słuchaj-no, co ty robisz wieczorem? — pyta nareszcie Zeno Gajskiego.

— Nic, albo co?...

— Przyszlibyśmy do ciebie z Mielickim; zaczął nowy obraz i jest w sztosie do gadania.

— A to przyjdźcie, owszem. Cóż on maluje?

— Szlachtuz.

— Szlachtuz?... a jemu zkąd to przyszło?

— Zkąd miało przyjść?... z natury. Alboż to nie pyszny temat? Wczoraj chodziliśmy za Wisłę zobaczyć umyślnie, jak rzną woły. Czyś ty to widział kiedy?... wspaniały efekt!

— I obrzydliwy, — dorzuca, wzruszając ramionami Krempel.

— Czemuś pan nie został wegeteryaninem? — pyta go Grotwicz.

— Bo co w tem wspaniałego, powiedz pan, dla człowieka z poczuciem jakiego takiego smaku?...

— Co?... dużo się pan znasz na tem!... koloryt, panie!... natural!... oryginalność!... taka kałuża krwi, to pyszna plama w obrazie. A taki rzezak, świetna figura; jaki tu ruch można uchwycić!... ja wiem, że pan-byś wolał Romea i Julię przy balkonie, albo jaki inny idyotyzm, banalnie pomysłany i banalnie wykonany, ale już czas, żebyśmy tę banalność do wszystkich dyabłów wyrzucili od nas ze sztuki i literatury, i życia, — wsząd!

— Pan nie może wiedzieć, co jabym wolał, — broni się doktor już podrażniony; — w każdym razie nie to, co się panu podoba. To pewna, że wolałbym, aby malarz i artysta szukał tematów dla siebie gdzieindziej, niż w szlachtuzie.

— Może w prosektoryum? — wtrąca złośliwie Zeno — przecieć to byłoby wszystko jedno. Tu rzną, a tam kraja.

— Może to panu nie robi żadnej różnicy oświadczenie, — odeina się Krempel i wstaje od stołu, zapalając sobie papierosa.

— Po śmierci, rozumie się, nie robiłoby mi żadnej, czy rzeźnik prosty, czy uczony anatom zechce mnie pochwierować.

— No, to jeszcze i tak dużo, że zrobiłoby to panu różnicę za życia, — mówi Adam i spogląda na Grotwicza tak, jakby miał dwa lancety w oczach.

— Moi drodzy, znów się bierzecie na pazury? — mityguje ich Gajski z miną niezadowoloną, bo wie, czem się takie przekąsy zwykle kończą pomiędzy jego przyjaciółmi.

Od słowa do słowa nagadają sobie impertynency, posprzecząją się i potem przez kilka tygodni jeden na drugiego patrzeć nie zechce, a on będzie musiał słuchać wymyślań Grotwicza na Krempla i dogryzków Krempla na Grotwicza.

To go stawia w przykrem położeniu i mać mu spokój domowy, oraz harmonią jego stosunków, a on chciałby żyć w zgodzie i z jednym, i z drugim, bo dla obu ma sympatyę, choć się wyrzeka wszelkich uczuć altruistycznych.

Dla Krempla czuje jednak jakąś skłonność instynktowną, dla Grotwicza wyrozumowaną; uwierzył w jego niepospolity umysł i kolosalną inteligencją. O Kremplu wie, że jest „dobry chłopak;“ zresztą, znają się prawie od dzieci i przywykli do siebie, chociaż się w niczem nie zgadzają.

Takich sprzeczek, jak przy dzisiejszym śniadaniu, wysłuchał już mnóstwo; czasem, gdy nad nimi potem rozmyśla, zdaje mu się, że Krempel miał zupełną słusność, ale nie przyznałby się do tego głośno, z obawy przed Grotwiczem, któryby go jednym spojrzeniem spiorunował.

Nikt na świecie nie może mieć słusności, oprócz Zenona. Nad tem niema się nawet co zastanawiać.

— Nie rób sobie nic z tego, — mówi też poichu do Grotwicza przy pożegnaniu, starając się go udobruchać.

Zeno spogląda na niego przez ramię i głaszcząc swoje brode, powiada:

— Ja?... ja miałym uważać na to, co taka mucha brzęczy mi koło nosa?... to mnie nie znasz, mój drogi!... Przecieć to skończony filister, ten cały twój Krempel: najzwyczajniejszy pył ziemski, ugnieciony w foremkę ludzką. Takich, jak on, idzie trzynastu na tuzin, a jak w nich dobrze dmuchnąć, to śladu po nich nie zostanie. I ja

miałbym zważać na to, co pan doktor Krempel mówi!... także!

Przy tych słowach ma taki wzgardliwy grymas na ustach, że aż Gajski uważa za stosowne ująć się za swoim współlokatorem.

— No, no, no!... — przerywa mu w tonie, który ma znaczyć:

— Takie znów zero nie jest ten Krempel, — ale Grotwicz jest już za drzwiami i spluwa właśnie, jak tryton jaki na wspomnienie żaby, którą przypadkowo połknąć musiał.

Gajski wraca do pokoju i zaczyna się ubierać; zepsuł sobie humor na kilka godzin i ma niemal żal do Krempla, że wywołał tę całą historię.

Bo po co mu się mieszać do rozmowy z Zenonem, kiedy go zna i wie, że się z nim biegunowo różni we wszystkim?... przekonać go nigdy nie otrafi, choćby sobie język wystrzępił.

Zresztą, co do tych kobiet, to dalibóg Grotwicz ma rację; przecież to marne, chybione, słabe, niedoskonałe stworzenia.

Ot, ornament z lukru na torcie naszego żywota. Słodkie to, ale krucho.

Ze tam matki są kobietami i siostry także, no to cóż z tego?... Przecież nie wszystkie kobiety są jego matkami, rozumuje, żeby miał dla wszystkich mieć jakieś wyjątkowe względy.

A potem jego „stara“, prawdę powiedziawszy, ma także mnóstwo wad i ułomności kobiecych, które mu już się dobrze we znaki dały.

Franek od czasu bliższej znajomości z Zenonem, przestał ją nazywać „mamą“, jak dawniej; po co się ma pieścić, jak smarkacz, przecież dochodzi już do trzydziestki. Nazywa ją „stara“ swoją, jakkolwiek pani Gajska nie ma jeszcze lat pięćdziesięciu i mogłaby być wyjść powtórnie za męża, gdyby chciała, tak dobrze, i młodo wygląda.

Siedzi na wsi, na świeżem powietrzu, gospodaruje i zbiera pieniądze dla swego ukochanego Franka, który za nie w świecie nie przeniósłby się z miejskiego bruku, choć go nie obowiązkowego na nim nie trzyma.

— Franio bez miasta wyżyć-by nie mógł, — powtarza pani Gajska wszystkim, którzy się dziwią, że syn, jednak nie pomaga jej w gospodarstwie, a na pytanie: co tam w tem mieście robi? — zakłopotana trochę odpowiada zwykle:

— Szuka właśnie jakiego zajęcia dla siebie, ale z jego wątłym zdrowiem trudno mu znaleźć coś odpowiedniego. Ja go sama powstrzymuję, aby zawiele nie pracował, bo biedaczysko sił dużo nie ma; przytem, piersi zdaje się ma słabe. W zeszłym roku zimę spędził w Mentonie, a dwa lata temu w Algierze...

Co prawda, nie bardzo wierzy sama w te słabe piersi swojego Franca, ale wobec ludzi musi tak mówić; trzeba przecie czemś upozorować jego próżniactwo.

W listach za to do syna zaklina go nieustannie i prosi, aby o sobie pomyślał, aby coś robił, czemś się zajął, choćby jaką dyktancką robotą.

Czyż to [nie szkoda młodych lat, czasu, życia, spędzanego tak beczynnie?...

Ot, koledzy jego, rówieśnicy, sąsiedzi, każdy coś sobie znalazł, każdy jakiś zawód wybrał, jest już czemś, a on jeden dotąd niczem i niczem, panem Franciszkiem Gajskim, jedynakiem pani Florentyny Gajskiej, właścicielki dwóch wsi z ośmioma folwarkami i gorzelnia.

Otóż to właśnie, co zawsze najbardziej irytuje go w listach jego „starej“; ta naganka do pracy, do zajęcia, do roboty.

Istny ekonom z tej pani Gajskiej, ale nie matka.

Jakgdyby im obojgu chleba nie starczyło; ojciec przecież zostawił majątek, trochę zadłużony, ale to się spłaca powoli i kłopotów z tem niema. Można z tych dochodów utrzymać po-pańsku całą rodzinę, nie tylko jego jednego z matką.

Ale to już taka kobieca natura, żeby tylko gderać, tylko dokucać, tylko irytować.

To szczęście, że nie na każdy list „starej“ odpisuje, bo musieliby się pogniwać.

A potem, co kobiety rozumieją o wyższych celach życia!... dla nich cała filozofia to: dwa razy dwa cztery.

Szkoda słów.

Alboż to mało musiał matce tłómaczyć, że nie czuje najmniejszej ochoty do włożenia dobrowolnie w jarzmo małżeńskie?... chciała go przecież gwałtem ożenić i swatała z rozmaitemi pannami w okolicy, wybierając najzdrowsze, najładniejsze i najposażniejsze.

Sprowadziła go nawet w tym celu na wieś przed trzema laty i obwoziła w sąsiedztwo, jak jakiego dziwoląga.

Gdyby znudzony nie był uciekł z Pytlowie, kto wie, jakby się to było skończyło.

Jej się zdawało, że żona to taki rarytas. Niechby pogadała o tem z Grotwiczem, który jest gorącym zwolennikiem celibatu i powiada, że małżeństwo jest zaprzeczeniem praw naturalnej swobody i doboru, dobrowolną formą helotyżmu jednostki męskiej i żeńskiej.

Ale co o tem gadać kobiecie, wychowanej na wsi w zasadach konserwatywnych, religijnej, zacofoanej, wierzącej, że małżeństwo jest instytucją świętą, ustanowioną przez samego Pana Boga. Gdzie, kiedy, przy jakiej okazji?... w jakim celu?... Chyba po to, żeby matki awansowały na babki.

Był czas, że i jemu roilo się coś takiego po głowie i że byłby się nawet chętnie zakochał; ale to dawno, jeszcze za studenckich czasów, dopóki nie zaczął analizować wszystkiego.

Teraz, — teraz wie, co znaczy tak zwana miłość i co się pod nią ukrywa; stworzyła ją obłuda ludzka, aby nie nazywać rzeczy po imieniu.

O, na ten temat przeprowadzali z Zenonem całe dyskusyje; zgryźli, przeżuli nie raz i nie dziesięć razy całą tę kwestyę, teraz znają ją na wylot.

Nie wiać ich na sentyment!

Gajski myśli właśnie nad tem, zapinając przed lustrem ostatni guzik kamizelki nowej, którą mu przyniósł krawiec wczoraj wieczorem i jego filozoficzne poglądy na świat i życie mieszają się z tak pospolitem spostrzeżeniem, jak to, że się materiał haniebnie fałduje na piersiach i że widocznie podszewka jest krzywo przyszyta do kamizelki.

— To bałwan ten Paluszkiewicz — mówi do siebie niezadowolony; — niby to jeden z najłepszych krawców, a głupiej kamizelki nie umie dobrze uszyć. Za to rachunki pisze na łokcie. Osiół jakiś!.. gdzież jaby w tem chodził!..

Tak jest zajęty temi kilkoma fałdami skośnemi, że nie uważa, iż ktoś już dwa razy zadzwonił u drzwi wchodowych a Anastazy nie otwiera.

Nareszcie trzeci dzwonek zwraca jego uwagę; wdziewa tużurek i idzie do przedpokoju.

Ach, żeby to był Paluszkiewicz, wzięłyby go za uszy i kazał mu zjeść te kamizelkę, jak ongi Don Carlos szewcowi buty za to, że były za ciasne!..

Na szczęście krawca, to nie on dzwoni, tylko panna Pawłowska z drugiego piętra; zbiegła bez kapelusza, z gołą głową, nawet przy fartuszkach w czarnej sukience i białej bluzce w niebieskie paski, z fularem zawiązanym w dużą kokardę pod szyją; biegła szybko po schodach, więc jest trochę zdyszana i zarumieniona.

Spodziewała się służącego zobaczyć we drzwiach; obcy mężczyzna miesza ją; cofa się o krok i pyta:

— Czy zastałam pana doktora?...

Gajski obejmuje ją całą jednym spojrzeniem i przedewszystkiem robi sobie uwagę w myślach:

— Patrzcie, to wcale ładna dziewczyna ta Genia Pawłocka!... — a potem z uprzejmą miną odpowiada dopiero:

— Nie wiem, zobaczę... Przed chwilą był jeszcze. Może pani pozwoli do pokoju?...

Robi jej miejsce we drzwiach z gestem zapraszającym i usuwa się w głąb, widząc, że dziewczyna jakby wahała się wejść czy nie wejść?

Wchodzi nareszcie, ale minę ma bardzo zafrasowaną i zatrzymuje się zaraz za progiem saloniku, który jest poczekalnią doktora, podczas gdy Gajski idzie do jego gabinetu ze słowami:

— Adaś!... panna Pawłocka chce się z tobą rozmówić.

Ale Krempla już niema, wyszedł przez kuchnię i zabrał z sobą Anastazego; zapowiedział, że wróci za kwadrans.

— Ach, mój Boże! — mówi zakłopotana jeszcze bardziej dziewczyna, instynktownie podpierając

swą okrągłą bródkę na dłoni, z czem bardzo wdzięcznie wygląda. — Cóż ja teraz pocznę!...

Jej duże, stalowo-niebieskie oczy pod długą rzęsą i sobolową brwią ciemną posmutniały nagle i zamglily się, jakby leżką zaszyły; pochyła głowę, na której złości się bujny splot włosów, skręconych — ot tak, bez dużych zachodów w jeden węzeł i jedną szpilką spięty, aby dużo czasu przy czesaniu nie stracić, zacina swoje drobne, kształtne, świeże usteczka, nad którymi leciuteczki znać meszek, ale to ledwie widoczny, i po chwili tej zadumy odzywa się, jakby do siebie, nie do Gajskiego:

— A mamie tam właśnie gorzej!..

To „mamie“ brzmi jakąś dziecinną rzewnością i smutkiem, jakby się poskarżyć chciało przed dobrą jaką duszą.

Nawet Franek czuje się wzruszony, domyślając się tylko, że tam na górze u Pawłockich coś złego zaszło.

— Czy potrzeba naglej pomocy? — pyta troskliwie, sam nie wiedząc, z kąd mu się na tę troskliwość zebrało.

— Ach, tak proszę pana, mama dostała duszności. To ja zawsze tak męczy okropnie. Pan konsyliarz kazał robić inhalacye i miał sam przystać aparat dzisiaj w południe — tymczasem już po drugiej. . . aparatu niema i pana doktora niema, a ja już nie wiem sama, co poradzić. Może pan będzie łaskaw zobaczyć w gabinecie: czy gdzie nie stoi przygotowany... pan Adam mówił, że go z pewnością przyśle!..

Gajski idzie powtórnie do gabinetu poszukać inhalatora i robi znowu uwagę:

— Na seryo, ona jest bardzo ładna; ja nie lubię wprawdzie blondynek i takich cienkich w pasie, ale!..

Nie kończy, bo w tej chwili spostrzega na stoliczku stojący inhalator i śpieszy zanieść go co prędzej zasmuczonej Geni.

— Czy to o ten chodzi? — pyta uradowany, że mu się udało zrobić przysługę ładnej dziewczynie.

— Ach o ten, o ten! — woła, wyciągając po niego obie rączki, ożywiona nagle i pocieszona odrazu, jak gdyby była pewna, że ten środek niezawodnie ulży chorej mamie.

— Bardzo panu dziękuję, bardzo! — powtarza z wdzięcznością i uśmiecha się do niego uprzejmie i pocziwie, przy czem z obu stron na policzkach robia jej się dwa śliczne dolki, które Gajskiego — choć nie lubi blondynek — do reszty przekonywają, że ta Pawłocka to prześliczna dziewczyna.

A jakoś mu się tak nie wydawała przy spotkaniu w bramie lub na schodach; bo, też co prawda, nigdy się jej tak dobrze przypatrywać nie mógł.

Ma zwyczaj chodzić szybko i odwracać głowę od mężczyzn, co się jej zanadto przyglądają; nie jest panną „na pokaz“, jak tyle innych.

Wie wprawdzie o tem, że jest ładna, bo wie każda, co choć raz spojrziała w lusterko, albo w oczy jakiego chłopca; ale dla czegoż ma o tem myśleć ciągle i pamiętać nieustannie?

Alboż mało ma innych rzeczy na głowie!..

Dopiero dwadzieścia lat skończyła, a już tyle, tyle zważyło się na nią obowiązków, już ją życie wpręgnęło w swe kolczate jarzmo, pod którym ugięłyby się niejeden mężczyzna.

Pawłocy mają pięcioro dzieci; najstarsza Genia, potem idzie Leon o dwa lata od niej młodszy, potem dwie dziewczynki bliźnięta, Joasia i Tacia, tak do siebie podobne, że gdyby pierwsza nie miała pieprzyka na dłoni, nie możnaby ich prawie odróżnić od siebie, gdy są jednako ubrane i uczesane; najmłodszym jest ośmioletni Boguś, od którego urodzenia datuje się właściwie choroba Pawłockiej.

I wszystko to trzeba było wychować i wyżywić z pracy rąk własnych, z tej małej introligatorni, w której Pawłocki sam, z jednym czeladnikiem i dwoma praktykantami po całych dniach, nieraz do późnej nocy haruje, gdy się robota nadarzy.

W dwóch izbach mieści się cały warsztat po przeciwnej stronie sieni, a w trzech pokojkach mieszka cała rodzina; ciasno im trochę i niewygodnie, ale to trudno, na appartamenta nie stać przy tylu wydatkach a dochodach niestałych.

Alboż to na oprawianiu książek można mieć wielkie zyski!... Pożal się Boże, co to za zarobek z tego broszurowania i półskórków.

Ot, pcha się biedę z dnia na dzień.

W mieszkanku jednak nie znać tego; schludno, czysto, meble jakie takie, w oknach franki, na ścianach kilka obrazków, lustro z konsolką, lampa na paciorkowej patarafce, okrągły stół machoniony przed kanapą, nawet posadzka w pierwszym pokoju, urządzonym na salonik, pociągnięta jakąś farbą woskową.

Z poza firanek zielenią się w doniczkach kwiatki, rzęda, fuksye, pelargonie i fikus, a między niemi wisi klatka, w której syczygiel z kanarkiem przeskakują ustawicznie z prętu na pręt i ewierkają na wyścigi, zwłaszcza kiedy słońce przez szyby wyzłaca im dzióbki i skrzydełka.

Kanarek jest ulubieńcem Geni, bo go z rąk jakiegoś ulicznika zduszonego na poły wykupiła, odchuchała, ogrzała, odkarmiła i nauczyła dziobać cukier z jej ustek, które mu nadstawia, jakgdyby sama była ptaszkiem, nie dziewczyną.

W drugim pokoju ma swoją sypialnię Pawłoczka z córką, w trzecim dopiero ojciec z resztą dzieci. Leon sypia w warsztacie dla ekonomii miejsca i przyzwoitości, aby młodsze siostry nie były żenowane.

Wieczorami robi się dopiero gwarno w tym ostatnim najcieplejszym pokoju, przy kuchni, gdy się to wszystko zbierze przy stole, dokoła samowaru przy szklankach herbaty i kubkach z mlekiem, przy kromkach chleba z masłem lub powidłami, które Genia w zastępstwie chorej matki sama kraje, smaruje i rozdziela z gospodarną minką młodej kokoszki między piskletami.

Najulubieńszym jej Benjaminskiem jest mały Boguś, wafły o przezroczystej cerze blondynek, wpatrujący się zawsze w siostrę takimi dużymi, dużymi oczyma, jak w jakie nieziemskie zjawisko; patrzy i nie nie mówi do niej, tylko się czasem uśmiecha, a czasem przyjdzie i nagle zarzuci jej rączki na szyję, jakby już dłużej nie mógł wytrzymać z tem kochaniem, zacznie ją całować po twarzy, po czole, po oczach, po szyi i z jakimś dziwnym, jak na dziecko uczuciem, powtarza tylko:

— Moja ty!... moja ty!... moja ty!... ach, moja ty!...

(Dalszy ciąg nastąpi).

PRZEGLĄD TEATRALNY.

CXII.

Falszywe enoty, komedia w 4-ach aktach, tłumaczona z niemieckiego, podług oryginału angielskiego A. W. Pinero, — poraż pierwszy w Teatrze Rozmaitości. d. 10-go Października.

Tensam autor dał się nam już poznać swoją *Niebieską grotą*—zapomnianą i pogrzebaną. Obecna jego sztukę przerobił Blumenthal, a z tego przerobienia dopiero zrobiony jest przekład polski. Kto go robił? Afisz nie mówi, ale przekład nie zupełnie jest *polskim*. Przed wystawieniem sztuki dla publiczności poprawiono samą treść, obcinając w niej pojedyncze ustępy dialogu lub nawet całe momenta niby-dramatyzmu; poprawiono też i wysłowienie. Jest to dowód staranności spóźnionej, co prawda, ale zawsze czegoś, przed czem znak dodatni postawić trzeba. Pomimo to w języku nowej sztuki zostało sporo jeszcze „falszywej enoty.” Trzeba wziąć jeszcze ołówki i z egzemplarza powyrzucać, co zdrożne. Podobno całe to przykrojenie sztuki dla scen polskich jest zasługą jakiegoś robotnika lwowskiego. Nic dziwnego, że jegomość ów nawet literami swemi na afiszu się nie pochwalił.

Sztuka przypomina nasze przysłowie: „Wstąpił do piekieł, po drodze mu było.” Po co ten p. Pinero przy pomocy p. Blumenthal'a, sięga aż po

pathos, kiedy ma pod ręką zwykły humor i zwykły też brud obyczajowy? I kogo też uważa za dość naiwnego, aby uwierzył w istnienie tematu *falszywej enoty*, chociażby tylko w jego własnej sztuce? Małgorzata Barthet zachwycająca w wagonie kolei żelaznej p. Roberta de Lussac, wywołująca w adwokacie, Pawle Bénéit, spostrzeżenie, że kobieta istotnie nieszczyśliwa, a więc w danym wypadku *cnotliwa*, nie ubierze się nigdy tak elegancko, i po wybuchu łez na sam widok brata tylko co poślubionej żony uwodziciela, postanawiająca zemścić się na nim przez wciągnięcie w swe sidła jego nowego szwagra—kobieta taka nie jest weale *falszywą enotą*. Samo jej udanie się do adwokata, pierwiej niż do margrabiego de Triseuil, i wydobyte z niej zeznanie, że *avant tout* postarała się o przyrzeczenie na piśmie, nie pozwalają uważać jej za *falszywą enotę*, zdolną oszukać nawet takiego człowieka, który jedną połowę milionowego majątku miał już czas puścić w klubach, drugą w wesołych towarzystwach, a na samym początku sztuki z ust człowieka *prawego i rozsądnego* słyży zarzut, iż żeniąc się z p. de Lussac, dopuszcza się nieuczciwości.

Cały węzeł psychologiczny między Małgorzatą a margrabią zadzierzgnięty jest niezdarnie. Autor upiera się przy *falszywych cnocie*, a daje w istocie prawdziwe awanturnictwo, owinięte w słowa, których rzeczywisty stosunek do charakteru, do malującej się w nich duszy, jest dopiero rzetelnym *falszem* w sztuce. Margrabia, światowiec i lekiewicz nieuczciwy, gdyby nawet dał się złapać na plewy, nie mógłby nigdy po ujawnieniu się prawdy odegrać takiej *biernej* wobec obu kobiet, kochanki i żony, roli *d'un ingenu*, jaką mu p. Pinero w akcie III-im odgrywać nakazuje. „Odejdz” — woła nań żona, i p. de Triseuil odchodzi. *Meły twórczości*—same *meły*, z którymi aktor nie wie co robić. Awanturka kończy zawód *cnoty* wydaniem się za lorda. Lord jest śmieszny, bo od tego lord, ale śmieszny oryginalnie: żeni się z Małgorzatą dlatego, że pod wrażeniem literatury uprawiającej dezinfekcyjny występku pragnie podnieść co upadło, uszlachetnić co się zbrukało. Jest to jakby ochotnik na stacyi doświadczałnej urządzonej przez Dumasa syna. Byłby on dobrym w komedyi, ale nie widzimy go w niej weale i tylko dowiadujemy się o nim w akcie IV.

Zepsuł autor i charakter rzeczywistej *cnoty*, czysto zarysowanej, Janiny de Lussac, przez niepotrzebne zupełnie wynurzenie się jej, że kocha męża, chociaż wie, iż ożenił się z nią tylko dla posagu. Taka kobieta nie może już wymagać od męża, ażeby nawet najdrobniejszej skazy na przeszłości swej nie miał; bo ma przecież skazy na żywej teraźniejszości swojej — i może je mieć bezkarnie. Całe uczuciowe zakończenie aktu III jest bez sensu wobec powyższego przekonania o p. Triseuil, niezgodnego z czystym dziewictwem duszy, z istotą najpierwszych gorących uczuć, z samą nawet godnością osobistą. Prawda, że nieponie trwoniący dusze i majątki mają szczęście do kobiet, ale nie do wszystkich kobiet — Janina zaś jest zbyt świeżym wonnym, białym kwiatkiem, aby mogła nie być wyjątkiem od reguły.

Cichy, niewidzialny podziemny strumień, adwokat Paweł Bénéit, wspólnik starego egoisty Juliusza Frossard'a, kocha się dobrze, skoro się już żenić z młodziczką nie śmie, a z bogatą nie chce, patrzy też i w ludzi dobrze, poznaje odrazu *falszywą nutę* w melodyi skarg żalonych i łez Małgorzaty, ale nie dowodzi wielkiej roztropności, gdy dopiero w miesiąc po ślubie przyjeżdża aż w okolice Florencyi, aby ocalić brata Roberta przez zburzenie szczęścia ukochanej Janiny. A przecież tensam człowiek, właśnie dla ocalenia jej szczęścia, nie chce pozwolić Małgorzacie Barthet na zerwanie ślubu, a przynajmniej zrobienie sceny, która przy danem usposobieniu niewinnego kwiatka musiałaby spowodować zerwanie. Autor nie umiał go dociągnąć do końca, utrzymać w charakterze koła rozpędowego, ale dobrze odczuł *cnotę* i uczucie mężkie hamowane przez wolę. Scena wyznania, zakończająca stosunek obu istot w sztuce, jest prawdziwa, prosta i wzruszająca—potrzeba ją tylko grać dobrze.

Po poznaniu całego rowarzystwa *zgrzeszonego* przez p. Pinero w *Falszywych cnocie* nie dostrzegamy w niem ani jednej osoby, któraby temat tytułowy rozwijała własną psychiką swoją przed widzem. Obrana na ten cel przez autora Małgorzata chybia celu: *falszu*, *świętoszkowstwa* najżyźliwszy z przyjaciół,—jakich autorowie nie pewni siebie mają zwyczaj skazywać na wychwalanie tego, co świeżo na piszą,—nie mógł panu Pinero'wi przyznać, że istotnie wytworzył *kobiecego świętoszka*, *falszem* torującego sobie drogi i manowce żywota. Jedno z dwojga: ofiarą jest albo on, albo ona. Jeżeli on, to większej niezdarności w budowaniu sztuk dramatycznych wystawić sobie nie podobna; jeżeli ona, to cały instrument *cnotliwości*, mającej ludzi w błąd wprowadzać, jest wykonanym tak *pariacko*, że nanowo zupełnie zrobić go potrzeba, gdyby się w słuchacz, umiejącym słuchać, nietylko uchem, ale i rozumem, chciało wzbudzić rzetelną już wiarę w *prawdę* żywą tych sztucznych ludzi. Nawet nazwa „*pozory cnoty*” wydaje się zbyt *obszerną* na to, co autor zamknął w swej sztuce. Najlogiczniej jeszcze przedstawi się cała budowa wtedy, jeżeli za główną w niej osobę uznamy, nie Małgorzatę Barthet, ale Janinę de Lussac, poślubioną przez margrabiego, uwodziciela.

Dobre w ogóle dylalogowanie, osłaniając logiczne i psychologiczne ułomności utworu, czyni z nich jakby wady ukryte, których odrazu dostrzedz nie można. Dyalog też ocala dramatyczną część sztuki od zupełnego załamania się i rozpadnięcia; ale nie ocaliłby jej przed wrażeniem nudów w widzu, gdyby nie wesołe charaktery hrabiego Chavigny i pani Barbusson. Hrabia jest podstarzałym hulaką, który dwukrotnie już wchodził pod jarzmo hymenu i dwukrotnie je z siebie strząsał, nie mogąc nigdy włożyć się w *małżeńskie tempo*. Pomimo to przyjaciel margrabiego sięga po trzecią żonę: młodą a biedną panienkę, kochającą się w Robercie, bracie Janiny, ale weale nie od tego, gdy ją matka gwałtownie pcha za hulakę. Światowiec ten—paryżanin czystej krwi, dzięki tegiemu zdrowiu i rozsądkowi, którego temperament zmiażdżyć nie zdołał, nie jest jeszcze ani starym zdechlakiem, ani wstrętnym niegodziwcem. Nie musiał też być nigdy zupełnie ograniczonym i wyłączonym tylko do używania świata zdolnym; ma w sobie pewien zasób tej mądrości życia, która sama niejako bez przyczynienia się człowieka, byleby tylko nie bronił się od niej, wchodzi w niego, przenika samą siłą czasu, samym faktem życia. Jest ten p. Chavigny sceptykiem na wielu punktach wiary i obłudy zdawkowej, ale nie ma w sobie weale tego ohydneho *sceptycyzmu*, który wszystko, burząc co w człowieku boskie, burzy zarazem i wszystko co duchowe, w przeciwstawieniu do natury człowieczej i ludzkiej, i jest tylko *materyalizmem* przeczącym, krytyką wszystko ze stanowiska niezego. W wiele rzeczy p. Chavigny nie wierzy, bo wiele rzeczy już widział, jest pesymistą i satyrykiem, ale w sercu jego nie wystygła jeszcze dobroć dla ludzi: podejmuje pośrednictwo w pogodzeniu małżonków w akcie IV i logiczniej się wywiązuje z zadania, niż ów, zamykający swą miłość na rygle, młodszy od niego i moralniejszy, *prawy, rozumny*—p. Paweł Bénéit.

Rola *falszywej cnoty*, objęta przez panią Lüde, pod względem logiki pojedynczych momentów i syntetycznego wykończenia jest *najslabszą* ze wszystkich. Artystka, która rolę tę podejmuje, musi ją *wpierwej* do pewnego stopnia przetworzyć, uzupełniając trud niespełniony całkowicie przez autora lub spełniony źle. Do takich zadań, już nad poziom zwykłych obowiązków artysty scenicznego sięgających, potrzeba długiej, spokojnej rozważi, potrzeba rozbioru będącego już anatomią postaci. Zhrakło może artystce czasu, może ją zawiodła myśl samodzielna, zagłębiająca się w rolę, przez niestawienie się albo też nie dość ścisłą działalność: jakakolwiek znaleźć-by się mogła *przeżywna*, w każdym razie skutek był ten, że rola nie dała tej nawet *falszywej cnoty*, jaka samo założenie sztuki narzucało artyzmowi. Nie ma tu winy, jest tylko fakt, że co zepsuł autor, tego artystka nie naprawiła. Jej nieśmiałości, wstydy, westchnienia, żale, spowiedzi w akcie I z Pawłem były zbyt szczerze, nie posiadały wła-

ściwego zabarwienia psychicznego, a wybuch w akcie III zupełnie zamglili właściwy obraz duchowy postaci. Ale biorąc szczerze objawów samą w sobie, bez względu na charakter danej osoby i stanowisko jej w sztuce, nie podobna jest miłozieniem pominąć rzetelnej wartości tego, co nam przynosił talent artystki. Na próbie zwłaszcza, sceptycznie zwykle usposobiona rzesza krytyków i dziennikarzy miała jeden tylko głos gorącego uznania dla Małgorzaty pierwszego aktu.

O wiele wdzięczniejszą rolę dostała panna Czaki. Janina jest jasną a swą młodocianą, przez życie, przez własne i cudze błędy nie tkniętą jeszcze wiarą—pociąga umysł. Potrzeba jej tylko uczucia, zupełnie lirycznego uczucia, które bynajmniej nie ma być rozlewającym się magajstwem—aby się wkupiła w dodatnią wrażliwość widza. Naiwność może jej tylko zaszkodzić, a właśnie ta naiwność zbyt uporeczywie odzywała się w roli. Dwie tylko chwile ma panna Czaki rzeczywiście dobre: jedną w akcie III, kiedy nakazuje margrabiemu odejść, drugą w samym zakończeniu sztuki, kiedy, nie wiedząc o mężu, że stoi już na jej progu, rwie się do niego i radaby jaknajprędzej rzucić się mu w objęcia. Nieponie mają szczęście.

P. Ładnowski w roli zakochanego Benoît był zanadto ponurym i zimnym, i głosem swym nie przekonywał o utajonym cieple serca; ale kiedy jako adwokat przyjmuje wyznanie, wcale nie prawno-cywilne, od swej klientki, i później, kiedy zagradza jej drogę do wyjścia, zupełnie zadawalniał. P. Prazmowski wziął margr. de Triseuil zbyt poważnie i czysto. Robert de Lussac w dramacie fałszywej enoty mającej więcej i lepszych rzeczy do zrobienia dostał się p. Wolskiemu; nie wyszedł na tem źle. Użytecznie prowadził firmę Frossarda p. Grzywiński.

Wszystko to, co dobrego było w grze artystów—mających rolę albo całkiem poważną, albo z poważnymi momentami, zatarłyby się we wrażliwości i w pamięci widzów, gdyby nie p. Frenkiel, który dobrem pochwytem hr. de Chavigny rozśmieszał i zajmował. Artysta ma głos, — dar coraz droższy, bo coraz radszy, ilościowo szczuplejszy w naszym towarzystwie dramatycznym — i dzięki pełni tego głosu myśl jego, odtwarzająca rolę, nie czuje na sobie więzów niemocy organowej i nie daje ich uczuć i słuchaczom. Chavigny nie jest żadną wybitną indywidualnością, ale jego dowcip i humor przeciętny i jego przeciętne też doświadczenie i zepsucie zupełnie mu wystarczały — gdy miał takiego przedstawiciela, jak p. Frenkiel.

P. Borkowska zbyt długo i plastycznie jadła śniadanie w willi pod Florencją i wogóle zanadto grubym kwaczem malowała „Dame Barbusson“ Trochę układności przydałoby się tej matce Anieli, którą panna Junosza grała — arey-niemrawo.

Stanisław Krzeminski.

MANIJA K

CHARAKTERYSTYKA

przez

Helenę Cajsynger.

(Dalszy ciąg).

Zrobił przecież ciekawemu miejsce, pomiędzy cisnącą się zgrają chałatową. Pan Tomasz patrzył nie bardzo przytomnie, ale dojrzał i ojca rodziny w bezradnej bierności, oczekującego na spełnienie aktu sprawiedliwości, i matkę, popłakującą w kąci, a tulącą do siebie, jakieś kilkoro biedactwa; coś go dławilo w gardle gorzej jeszcze, niż ten wyziew nędzy, który izdebkę napełniał.

— Nie masz tu jakiego znanego sobie Żyda?

— A toż ci wszyscy to stała moja gwardya; ciągną za mną codziennie, jak kruki za śmiercią.

— Ale, widzisz, takiego co by to.... mógł kupić na mój rachunek?

Komornikowi rozjaśniła się twarz.

— A owszem, znajdzie się i taki, bo i tacy bywają potrzebni niekiedy, chociaż to już rzadka, bardzo rzadka rzecz. Z tem wszystkim rad jestem niesłychanie, — dodał, ożywiając się stopniowo.

Pan Tomasz pociągnął go do okna, i dając mu sto rubli w rękę, począł tłumaczyć, ale mu kolega przerwał:

— Bój się Boga, we wszystkich trzech miejscach, razem wziętych, summa nie dosięga tej kwoty.

— To załatwijże, kolego kochany, taksamo i w tamtych dwóch.

— Chciałbym powiedzieć im od kogo; czy pozwolisz?

— Nie, nie rób tego, proszę cię—mówił gorąco i trochę nieprzytomnie pan Tomasz—śpieszę się do biura, zobaczymy się niedługo. Zresztą możebyś mnie odwiedził kiedy?

Zostawił mu bilet z adresem, i wyszedł pośpiesznie. Ktoby za nim był szedł, usłyszałby jak monologował, bo głośno, pod wpływem wzruszenia mówił do siebie pan Tomasz;

— Wybrnij-że tu z tego! Oto dla uproszenia łaski Bożej dla zamiarów moich daję jałmużnę. Ma to niby się tak rozumieć, że oswobodzone chwilowo od nieszczęścia biedactwo powinno uprosić u Boga, iżby on opancerzył odtąd serce moje na dolę im podobnych, bo w przeciwnym razie ja nie dokażę niczego. Sprzeczności, same sprzeczności! Z tem wszystkim wiem, pojmuję to dotykalnie, że jest to zbytek, którego sobie nadal pozwalać nie mogę i nie powinienem. Wrzucenie błogie, ale chwilowe; bo oto już teraz zadowolony z siebie nie jestem wcale. Oddalam się od celu, oddalam z miejsca zaraz. Bądźco bądź, trzeba było te sto przyłączyć do tamtych, bo co ja właściwie tym sposobem zrobić zamierzałem? Folgę samemu sobie—więcej nie! A tu nie powinno się zapominać, że serce litościwych dla nędzy było u nas po wszystkie czasy dosyć, i nigdy ich zabraknąć nie może, bo my ludzie dobrzy jesteśmy, dobrzy z pewnością, ale niemądry. Nie! za komornikami nie będę już chodził stanowczo, nie! Niech Bóg natchnie innych — niech oni to robią. Innych?—pomyślał, i znowu rozważać począł, czy nie lepiej było, gdyby i ci, których on w duszy za komornikami wysyłał, poszli w ślad za nim także, i zrobiło mu się ciężko, bo z przewidywanych komplikacji, na jakie w życiu natrafić musiał koniecznie, bardzo trudne widział wyjście. Pocieszał się myślą: jak to dobrze, iż przynajmniej najbliżsi, rodzina jego, używa dobrobytu, że ztąd przynajmniej zamachów na swoją działalność spodziewać się nie może; ale zaraz za tem nasuwać się zaczęły wątpliwości, azali to tak długo to dobre pomiędzy nimi pozostać może, bo to różni szl. ludzie zawsze w górę i na dół, w różnych epokach, a o upadek łatwiej dzisiaj, niż kiedykolwiek. Zmęczył się, znużył, wyczerpnął, i jedyną konkluzją, do jakiej przyszedł, była ta, że nie należy nigdy pozwalać odebrany odsetkom w swoim biurku przez dwadzieścia cztery godzin zagościć, ale je koniecznie w ruch puszczać odrazu, przyczem pocieszającą wydała mu się ta okoliczność, że to tylko raz na pół roku zachodzić może potrzeba staczania takich walk z sobą i opanowywania podobnych pokus.

Kusiło go też chwilami życie samo. Był jeszcze nie stary, a choć znużony bardzo, nie bez tego przecież, żeby, przypatrując się trybowi domowemu ludzi normalnie żyjących, w rodzinie jakichś stron dobrych dopatrzeć nie miał. Te dodatnie strony przeznaczeń ludzkich dokuczały mu jednak, bo czuł się lisem, odnośnie do tych winogron, i dużo więcej pociechy doświadczał, kiedy jakieś dosadne piekielko w obserwacyach swoich spotykał.

— Szczególnych ja sobie wyszukuję pociech i zadowoleń—pomrukiwał gorzko.—Jeżeli sądzono mi tak dalece się do końca i postawić na swoim, to przypuszczam, że mi się przez ten czas nagromadzi tyle mętów w duszy, że od nich, już nietylko ludzie, ale i Bóg sam się odwróci.

Nie brakło też nagabywań i ponęt w przeróżnej formie. Pan Tomasz miał pozycją, jak na wiek swój, bardzo ponętą, opinią jaknajlepszą, a co się tyczy stanu majątkowego, to głosząco o nim więcej i szacowano go wiele wyżej, ponad wartość istotną; że był wciągany i kuszony, jednym słowem, zaledwie mógłby ktoś wątpić; ale tego rodzaju pokusy, spokojności jego nie zagrażały bynajmniej, nudziły go tylko i potrosze męczyły. Niebezpiecznym istotnie mogło być dla jego spokoju tylko to, co przeciwko poślubionym zamiarom z głębi jego własnego serca do walki wystąpić mogło; resztę odpędzał takim wysiłkiem, jakiegoby potrzebował do odpędzenia muchy natrętnej.

I biegło mu życie wśród takich właśnie warunków, a jedynym dotkliwszym, w ciągu lat kilku, wypadkiem, była śmierć ojca, którego żałował szczerze, a który w testamencie panu Tomaszowi obowiązki i prawa swoje, jako najstarszemu synowi, przekazywał, pozostałe rodzeństwo i matkę we wszelkich losach przeciwnych opiece jego polecając.

Ustęp ten wywołał tylko, ciężkie, bardzo ciężkie westchnienie ze strony tego, do kogo się odnosił, a chociaż podobne ewentualności dotąd przewidywać się nie dawały, to przecież czuł pan Tomasz, że i przeciwko takiemu wypadkowi zabezpieczyć się jakoś na przyszłość wypada.

Ograniczył teraz swoje potrzeby, począł oszczędzać.

— Niechże w złej godzinie mają ucieczkę do owoców mojej pracy, bo to im się należy. Tamto już nie moje — po sto razy nie moje: postanowiłem, zobowiązałem się, poprzysiągłem!

Bronił się, choć ataku jeszcze nie było, a wycofywał się potrosze i z tych stosunków towarzyskich w które początkowo zabrnął, jak widać, nierozważnie. Składki, kwesty wielkanośne i inne podobne nieuniknione wydatki zaspakajał odtąd oszczędnie i oględnie, co mu wprędce opinią skąpca i człowieka nieużytego zjednać musiało. Było przytem do spożycia trochę szyderczych uśmieszków, nieco kolących alluzji, ale były to tego rodzaju przeciwności, że utwierdzały go raczej na raz obranej drodze. Niebezpieczeństwo rzeczywiste, groźne, zawitać miało z innej strony.

I zawitało w samej rzeczy, groźne, potężne, jak przeznaczenie; stanęło ono w poprzek drogi tego człowieka, i zmusiło go do wielkiej, stanowczej walki, która dopiero teraz o losach całego jego przedsięwzięcia rozstrzygnąć miała.

Ośm lat żył już pan Tomasz, wierny postanowieniu swemu, czterdziestka zbliżała się wielkim krokiem a szron głowę przypruszać począł, kiedy zrodziło mu się w duszy przywiązanie ciche, spokojne wprawdzie, ale jedno z takich, co-to, raz pochwyćwszy ofiarę, już jej więcej nie opuszczają. Spotkał kobietę taką właśnie, o jakiej niegdyś, kiedy-to jeszcze sądził, że mu się wszystko od życia należy, śnił sobie po-młodzieńczemu. W dojrzałym już wieku, kiedy mu się z praktyką życia oko w oko zetknąć przychodziło, utwierdzał się coraz bardziej w mniemaniu, że takie postacie tylko rozbijała wyobraźnia młodzieńcza wytwarzać może; bo duchem samym nie jesteśmy, a po tej ziemi stapać mogą tylko istoty z ducha i ciała w pewnym nieodzownym stosunku złożone.

Nieprawda! Spotkał to wcielenie swoje doskonałości kobiecej, spotkał na swoje i jej nieszczeście, a trzeba było, na domiar złego, żeby to go zaskoczyło w wieku, kiedy walka z sobą, bodaj najtrudniejsza jest, bo już ostatnia. Mówimy, że nieszczeście i jej sądzonym było, bo, ku większemu udręczeniu i niedoli, natrafił pan Tomasz na przywiązanie tak silne, trwałe i niezłomne, jakim było jego własne. Pasował się ze sobą i męczył długo, aż kiedy dojrzał, że i ta kobieta umiłowana niszczyć mu w oczach poczyna, ogarnęła go rozpacz prawdziwa, bo tu już nie szło o niego jednego, a natomiast jawne być poczynało, że cała sprawa ku jakiemuś fatalnemu rozwiązaniu chylić się poczyna. Pogrzebiony, pojechał na dni kilka odwiedzić niby rodzinę, a w gruncie rzeczy, aby z jedynym zamiarów swoich powiernikiem, sta-

rym proboszczem, rozjaśnić sobie skrupuły własnego sumienia.

— Staruszek posunął się już był w lata, umysł miał jednak trzeźwy zupełnie, a od pierwszego spotkania poznał łatwo Tomasz, jak miłym mu jest gościem, i jak go obchodzi plan ucziwego życia przed laty mu powierzony.

— Jakże ci idzie?—pytał ciekawie. Prędko też kapitał podwoisz?

Sposepniał pan Tomasz bardzo, bo po co innego zupełnie przybywał tutaj; niemniej z westchnieniem odpowiedział:

— Już podwojony przed rokiem.

— Jak to? — bo może ciebie znowu chciwość obłąkała; może ty ludzi obdzierasz?—Bój się Boga! Przecież tego się ruina drugich okupywać nie powinno.

— Broń Boże! Więcej nad procent postanowiony nie biorę.

Trzeba było przekonywać staruszkę, że tak, a nie inaczej, przedstawia się rachunek. Uwierzywszy, radował się niezmiernie, a zadowolenie swoje wykrzyknikami tylko objawiał.

— Mój Boże! jak to szybko idzie! Ze też to ludzie zrozumieć nie mogą, jaka to siła olbrzymia ta oszczędność i ograniczenie potrzeb! Niechże Bóg błogosławi! To wielka pociecha dla mnie przed śmiercią, wielka i niezasłużona! Niezwyčajny człowiek z ciebie, Tomasz! Gdybyś to ojciec twój wiedział! ale on tam już wie teraz, wie i błogosławi czystym zamiarom twoim.

Sciskał go i rozrzewniał się ksiądz. Ten niezwyčajny, jak go nazywano, człowiek wił się tymczasem, jak na ruszcie rozpalonym, boć on tu z czem innym przyszedł zupełnie. Za to uznanie, za te obudzone nadzieje, miał podać starcowi gorzki kielich zwątpienia, przekonać go, że mierzności powszechnej jednym całem nie przerósł, że ciałem jesteście, bez wyjątku, wszyscy, że wielkie postanowienia nasze rozpryskują się, jak bańki mydlane, o powszechne prawo, że chceć inaczej albo lepiej robić od innych można tylko do pewnej granicy, a wynieść się ponad słabości, uczucia i obowiązki z niemi związane — jest mrzonką najczystsza. I jak tu nawet przystąpić do tego? To też nie przystępował ani dziś, ani nazajutrz, ani przez tydzień jeszcze, a przez ten czas gryzł się i tracił czas bezowocnie na rozterce z sobą samym, i zużywał siły w walce, z której zawsze jednak zwyciężonym wychodził.

(Dalszy ciąg nastąpi).

Z DZIAŁU PRZYRODY.

Kronika najnowszych wynalazków i odkryć naukowych.

Nowy przyrząd zabezpieczający od wybuchu gazów w kopalniach.—Powietrze skroplone i jego własności.—Lewar podnoszący ciecze, konstrukcyi p. Lemichel.—Wata mineralna.—Zabezpieczenie wyrobów żelaznych od rdzy.

Wiadomo jak często zdarzają się wypadki w kopalniach, a zwłaszcza w kopalniach węgla kamiennego, wskutek powstającego tam gazu (gaz błotny, metan), który, zmieszany z powietrzem, przy ładajkiej nieostrożności pracujących, gwałtownie wybuchu, zabierając corocznie tysiące ofiar. Wprawdzie teraz władze kopalni z wielką starannością usuwają możliwe przyczyny podobnych wypadków, które też przy używaniu lamp bezpieczeństwa i należytej wentylacji zredukowały się znacznie, pomimo to, nieledwie co parę tygodni czytać można straszne sprawozdania dzienników, o katastrofach wywołanych powyższymi wybuchami.

Obecnie, dzięki wynalazkowi pp. Bachmana i Fogta, przy użyciu przyrządu przez nich zbudowanego wypadki wybuchu gazów w kopalniach więcej zdarzać się już nie powinny. Cały aparat

nadzwyczaj jest prosty i podobny z budowy swej do wagi. Ustawiony w miejscu stosownym, zawiadania natychmiast o fackie zmieszania się powietrza atmosferycznego z gazami stosunkowo odeń lżejszemi lub cięższemi. Działanie jego odbywa się w ten sposób: do jednego ramienia tej wagi przymocowany jest dużej średnicy cylinder, dla lekkości wyrobiony z glinu (aluminium); brzeg przykrywką zagięty pod kątem prostym, pływa w rowku wyżłobionym w górnej części cylindra, który, wypełniony olejem lub gliceryną, jest tem samem hermetycznie przed dopływem zewnętrznego powietrza zamknięty. Stosownie do działania temperatury i ciśnienia atmosfery przykrywka albo się podnosi albo zniża. U drugiego ramienia wisi małej objętości ciężarek, zupełnie równoważący cylinder. Gdy nastąpi rozrzedzenie powietrza, choćby niewielkie, przez dopływ gazu wybuchającego (ciężar gatunkowy metanu wynosi zaledwie 0,55, t. j. połowę gęstości powietrza), dotychczasowa równowaga ustaje, a cylinder, spuszczaając się — podnosi w górę przeciwne ramię wagi, dotykające odpowiednio urządzonego przyrządu elektrycznego. W teje chwili powstaje prąd płynący po drutach do sygnałów, ustawionych w pokojach zarządzającego robotami i mechanika kierującego wentylacją. Cały przyrząd pp. Bachmana i Fogta tak dowcipnie jest urządzony, iż wskazuje nawet procentowo, ilość gazu zawartego w powietrzu kopalni. Ustawiony w różnych szybach, donosi natychmiast o pojawieniu się niebezpieczeństwa, celem przedsięwzięcia bardziej ożywionej wentylacji, albo zaprzestania robót z materiałami wybuchowemi, albo wreszcie zupełnego usunięcia ludzi z kopalni.

Wielu uczonych fizyków i chemików, jak np. Wróblewski, Olszewski, Cailletet i inni, pracowało w ostatnich czasach nad przeprowadzaniem gazów w stan płynny. Jednakże dopiero professor Dewar, w Instytucie królewskim w Londynie, w d. 10-ym Czerwca r. b., wobec licznie zebranej publiczności demonstrował rzecz zupełnie nową i ze wszech miar ciekawą — mianowicie: skroplenie powietrza atmosferycznego.

Wiadomo, że powietrze składa się głównie z tlenu zajmującego 20,8% i azotu 79,0%, oprócz domieszki bardzo nieznacznych ilości pary wodnej, kwasu węglanego i amoniaku. Professor Dewar użył do doświadczenia rurki napełnionej skroplonym tlenem i połączonej z odciągającą pompką powietrzną; wewnątrz tej rurki umieścił drugą, dłuższą, której otwarty koniec wychodził swobodnie na powietrze. Przy pompowaniu tlen napowróć zamienia się w gaz, a pochłaniając gwałtownie utajone ciepło, tak zniża temperaturę, że rurka szybko napełnia się powietrzem płynnym.

Rzecz dziwna, że oba gazy składające powietrze skraplają się równocześnie. Gdy powietrze skroplone przechodzi w pierwotny stan gazowy, to zachowanie się ich względem siebie jest odmienne: azot pierwszy wrzeć zaczyna, bowiem punkt jego wrzenia jest o 10 stopni niższy od punktu wrzenia tlenu.

W miarę ubywania azotu pozostały plyn staje się w tlen coraz bogatszym, tak, że zapala rozżarzoną zapałkę, siarkę, fosfor i wywołuje potężne, nieledwie oslepiające światło. Szczegółowe doświadczenia p. Dawara nad elektryczną własnością powietrza płynnego wykazały, że będąc umieszczone między biegunami elektro-magnesu — rzuca się ono gwałtownie do jednego z dwu biegunów.

Na konkursie rolniczym w pałacu przemysłu w Paryżu wystawiony był model lewara podnoszącego, którego bardzo prosta konstrukcyja, wobec wielkiego pożytku, jaki przyniesić może, zaleca bliższe jego poznanie.

Lewar ten w pewnych warunkach zupełnie zastąpi pompę, gdyż podnosi np. wodę do wysokości 10 metrów — co równa się prawie ciśnieniu at-

mosferycznemu. Każdy lewar, jak wiadomo, jest rurą zagiętą w kolano, której jeden koniec zwykle bywa dłuższy od drugiego; gdy raz zostanie napełniony cieczą, służyć może do bezustannego jej upustu z wyższego poziomu na niższy. Ten ostatni warunek jest zasadą.

Otóż w najwyższej części lewara t. j. w kolanie, p. Lemichel urządził aparat służący do oddzielenia i wyprowadzenia nazewnątrz pewnej części przepływającej wody. Aparat ten składa się z prostokątnego pudła, w którym mieści się tak zwane płuco t. j. bębnek żelazny z dwiema blaszkami falistemi, dwumilimetrowej grubości, podtrzymującymi ruch wody. W pudle, które nazwiemy rozpraszającym, znajduje się także klapka ruchoma; ruchy klapki oraz falistych błon płuca posiadają szeregi drgań — jakby oddychania i wydechania — zupełnie regularnych, w ilości 150—400 na minutę, a zarazem wyprowadzają wodę nazewnątrz górnej części lewara. Tym sposobem, po wsiach, w bliżkości małych rzeczek, zaopatrywać można w wodę wysoko nawet położone budynki, bez żadnych kosztów, wystarczająco bowiem do tego dwie rury, słup i pudło rozpraszające.

Korzyści, jakie przyniesie ten wynalazek ogółowi, są niezaprzeczane.

Jeżeli przez żuzel, który, jako produkt uboczny, w stanie płynnym wycieka z wielkich pieców wraz z surowcem żelaza, przepuścimy silny prąd par wodnej o wysokim ciśnieniu — to otrzymamy masę złożoną z nitek, nadzwyczaj cienkich, dających tak zwaną „watę mineralną.“ W ostatnich czasach masy tej używano w dużych ilościach do celów nader różnorodnych — tak dalece, iż produkcya jej stanowi już rodzaj osobnego przemysłu. Koleje żelazne Stanów Zjednoczonych Ameryki północnej używają waty mineralnej do wyściełania siedzeń oraz do zapełnienia przestrzeni pomiędzy dwiema warstwami desek podłogi, aby w ten sposób przytłumić szum i wstrząśnienia wywołane ruchem wagonów. Oprócz tego, wagony służące do przewozu mięsa, ryb i t. p. mają ściany tą watą obite, dla zabezpieczenia wnętrza od przenikania zewnętrznego ciepła. Izolacje tego rodzaju zastosowano z pożytkiem i do okrycia powierzchni ścian oraz cylindrów parowych u lokomotyw.

Badając watę pod mikroskopem, albo nawet dobrą lupą, widać śród masy niteczek pewną ilość drobniutkich kulek żuzla. Stosunek tych kulek do ilości włókien dochodzi od 30—40%, a czasami nawet do 60%, co, naturalnie, tak zniża jej wartość, iż staje się niezdatną do powyższych celów, i amerykańscy kupecy posiadają specjalny przyrządek, którym bardzo łatwo określić mogą ilość zawartych w wacie kulek i tym sposobem oznaczają zarazem jej cenę. Sześcienna stopa waty dość lekko prasowanej ważyć powinna 16 funtów.

Dla zabezpieczenia wyrobów żelaznych od rdzy Amerykanie wynaleźli następujący sposób. W umyślnie na ten cel wybudowanym piecu znajduje się duża retorta, ogrzewana do temperatury 550 do 650 stopni Celsjusza. Wewnątrz retorty układa się różne przedmioty do zabezpieczenia przeznaczone, w ten jednakże sposób, by się wzajemnie dotykały. Po zamknięciu pieca trzyma się je w powyższej temperaturze przez 20 minut, a następnie wciągu pół godziny przepuszcza przez rotortę parę wodną. Po ukończeniu tej czynności przerywa się działanie pary, a wpuszcza natomiast niewielką ilość nafty. Po 15 minutach parę wypuszcza się raz jeszcze. Cała operacyja trwa 80 minut, dając w rezultacie czystość, nigdy nie rdzewiejącą powierzchnię przedmiotów, złożoną ze związku żelaza z węglem, wodorem i tlenem.

G. D.

LOS WYNAŁAZCY.

Anglik William Lee obdarzył świat jedną z najważniejszych gałęzi przemysłu: w roku 1589 wynalazł warsztat pończosznicy i tym sposobem otworzył dla społeczeństw ludzkich jedno z największych źródeł bogactwa.

Szczególne okoliczności doprowadziły do wynalazku warsztatu pończosznicy; głównym bowiem bodźcem tego odkrycia nie była chęć ulżenia mozolnej pracy ręcznej, lecz li tylko — miłość. I rzecz dziwna! Człowiek, który tak rozumnie obmyślił ów skomplikowany przyrząd, nie należał wcale do cechu tkaczy i nie uprawiał nawet wcale rzemiosła mającego jakąkolwiek styczność z tkactwem. Wykształcenie jego techniczne było więcej, niż mierne; Lee należał do klasy ludzi uczonych, studyował na uniwersytecie w Cambridge teologią i był kandydatem na kaznodzieję.

Pomysłowy ten człowiek, będąc jeszcze studentem — tak niesie podanie — zakochał się w córce obywatelskiej, która mu uczucia szczerze wzajemnością odpłacała. Młoda dziewczyna była biedna, a jako najstarsza z rodziny, musiała po śmierci ojca pomagać matce w zarabianiu na chleb powszedni i zaspakajając jeszcze potrzeby licznych drobnych rodzeństwa. Mary bardzo była zręczna w robieniu pończoch, które w owym czasie stanowiły artykuł zbytku, przystępny tylko dla bogatych. Pomimo to robienie pończoch na drutach wcale się nie opłacało, bo nieznano jeszcze dzisiejszego łatwego i prostego sposobu wiązania oczek, co jest najważniejszym zadaniem przy ręcznym wykonywaniu pończoch. Narzeczona więc młodego teologa siedziała od rana do wieczora pochylona nad robotą, a pilnie i pracowicie przerabiając oczka, nie mogła wiele czasu poświęcać ukochanemu, i tylko od chwili do chwili przelotnym darzyła go spojrzeniem; trudna bowiem robota wymagała całej jej uwagi.

Młodzieniec powziął wówczas myśl: czy nie możnaby wynaleźć maszyny zastępującej robotę ręczną? Gdyby to możebnym było, pani swego serca mogłaby narzeczonemu swemu więcej czasu poświęcać. Jeżeli przysłowie twierdzi, że potrzeba tworzy wynalazki, to samo powiedzieć można i o miłości.

Lee bardzo szczęśliwie wszedł na mało mu dotąd znane pole mechaniki, i po upływie kilku miesięcy z zadowoleniem patrzył na owoc swoich starań, pomyślnym już uwieńczonych skutkiem. W roku 1589 stanął pierwszy warsztat jego pomysłu, na którym bez wielkiego trudu i stosunkowo w krótkim czasie wykonano pierwsze okazy wyrobów pończosznicych.

W tymżeśm czasie młody duchowny otrzymał probostwo w Calverton w hrabstwie Nottingham i uszczęśliwiony wprowadził swoją Mary jako żonę do swego nowego domu. Niestety! wkrótce nowe troski spadły na jego głowę. Dochody probostwa były tak szczupłe, że nędza zapukała do drzwi plebana. Wówczas pani pastorkowa zasiadła znowu do warsztatu wynalezionego przez męża, chcąc pracą swoją przyjść w pomoc małżonkowi i drobnej dziatwie, bo z biegiem lat przybyło kilku małych żarłoków, których apetyt trzeba było bądźco bądź zaspakajać.

Lee przyszedł prędko do przekonania, że wynalazek jego wielką ma przed sobą przyszłość i, nie tracąc czasu, zajął się gorliwie jego wydoskonaleniem. Przedewszystkiem zrzekł się swego urzędu, tak mało przynoszącego materialnych korzyści, i odtąd cały swój czas i wszelkie zabiegi poświęcił nowym zajęciom techniczno-przemysłowym.

Maszyna pończosznicy przez niego wynaleziona była zrobiona z drzewa i pozwalała łączyć ze sobą dwanaście oczek i kolejno spajać jedno za drugim w sposób taki, że tkanina tworzyła pojedynczą długą część, którą trzeba było zszywać dla nadania właściwego kształtu pończosze. Ma się rozumieć, dalekie to jeszcze było do doskonałości, ale w każdym razie zadanie główne było już rozwią-

zane, sama zasada zdobyta. Gdy po usilnych dociekaniach i próbach udało się Lee'mu wydoskonalić maszynę, postanowił warsztat pończosznicy ustawić w Calverton, a wtajemniczywszy w zawód pończosznicy bliższych swych znajomych, rozpoczął wyrób pończoch na większą skalę.

Zabiegłemu człowiekowi stanęły wszakże na drodze niezwykłe przeszkody. Ośmieszano go i szydzono z dawnego pastora wiejskiego, że kazalnie zamienił na warsztat pończosznicy; obwiniano go o oszustwo i utrzymywano, że towar jego maszynowy w porównaniu z ręcznym jest bez żadnej wartości. Przeciwnicy doprowadzili w końcu do tego, że nikt nie chciał nosić pończoch wyrabianych na maszynie. Rozjuszony i rozczarowany, opuścił Calverton i udał się do Londynu, gdzie miał nadzieję uzyskać poparcie i opiekę królowej Elżbiety. I tutaj spotkał go zawód: Lord Leicester, faworyt królowej, polecił go jej wprowadzić i Elżbieta z wielkim zajęciem oglądała warsztaty urządzone na Bunhill-Fields, ale gdy Lee ośmielił się prosić królowej o udzielenie mu wyłącznego przywileju na wynalazek, odrzuciła prośbę, nadmieniając, że byłoby nie szlachetnie pozbawiać kawałka chleba tylu biednych, trudniących się ręcznym wyrobem pończoch.

Po tym nowym zawodzie Lee zwrócił się do lorda Hudson, który również cieszył się wielkimi łaskami królowej, a dla wynalazku ex-duchownego okazał tak wysokie uznanie, że własnego swego syna kazał wyczyć sztuki pończosznicy. Pomimo to Lee otrzymał od Elżbiety odmowną odpowiedź z zastrzeżeniem, że przychyliłaby się może do prośby, gdyby wynalazca zechciał produkować pończochy jedwabne, zamiast wełnianych, które nosi każde z jej zamożniejszych poddanych. W skutku objawionego życzenia królowej Lee urządził jeden ze swych warsztatów do tkanin jedwabnych, i w krótkim czasie z radością przedstawił Elżbiecie parę cienkich jedwabnych pończoch. Królowa, przyjąwszy ex-pastora przychylnie, pochwaliła piękną robotę, miękkość i elastyczność wyrobu i pożegnała lekkim skinieniem głowy. Nie lepiej powiodło mu się z następcą bezdzietnej królowej, Jakóbem I, synem nieszczęśliwej Maryi Stuart. I on również nie okazał się skłonny do poparcia przedsięwzięcia, chociaż przy wstępowaniu na tron nie posiadał ani jednej pary jedwabnych pończoch i musiał ich sobie pozyszczyć od jednego ze swoich dworzaków — księcia Buckingham, ażeby, jak wyraził się sam, nie wyglądać w oczach posłów zagranicznych jak „ostatni szubrawiec“.

Zrażony niepowodzeniem w Anglii, Lee zwrócił się ku Francji, z silną wiarą, że nareszcie tutaj znajdzie orędownictwo i pomoc niezbędną.

Wielki mąż stanu, minister skarbu i osobisty przyjaciel Henryka IV książę Sully, który już kulturę jedwabniczą i inne gałęzie przemysłu do ojczyzny swojej wprowadził, dowiedziawszy się o nowym zupełnie przemysle pończosznicy, zawezwał Williama Lee do Francji. Zapoznany przez rodaków, porzucił tedy wynalazca swoją siedzibę i udaje się z rodziną do Rouen, gdzie na zlecenie księcia Sully zakłada nowe warsztaty pończosznicy. Zdawało się, że ciężko prześladowanemu przez los człowiekowi zabłyśnie nareszcie dobrze zasłużony promień słońca. Henryk IV przyjął Anglika bardzo łaskawie, a Sully wyjednał mu pieniężną zapomogę z dochodów miejskich, chcąc dać możność przemysłowcowi kształcenia młodych ludzi w zawodzie tkackim i w dalszym ciągu ulepszania wytwórstwa.

Zaledwie atoli zabłysła przed oczyma Lee'go jaśniejsza i weselsza przyszłość, gdy nagły grom pograżył ją w otchłań ciemności. Wkrótce po przybyciu jego na ziemię francuską zginął z ręki mordercy Henryk IV, dnia 14 Maja 1610 roku. Sully protektor Lee'go, jako zagorzał kalwin, poszedł na wygnanie. Rząd Maryi Medycejskiej, nie mógł miłym okiem patrzeć i za niego samego: odebrano mu wszelkie zapomogi, odjęto wszelkie poparcie, aż wreszcie dano mu do zrozumienia, że najlepiej zrobi, jeśli jaknajprędzej kraj opuści.

Był to cios zbyt silny dla niemłodego już człowieka, moralnie i fizycznie złamanego przeciwno-

ściami. Pozbawiony wszelkiej pomocy, wszelkiej nadziei — ubogi i zmęczony życiem jeszcze tegosamego roku, w którym król jego opiekun zstąpił do grobu, ów genialny twórca i założyciel gałęzi przemysłu, która dostarczyć miała milionom ludzi pracy i zarobku, pożegnał doczesność. Ale wynalazek przeżył wynalazcę, dzieło — swego twórcę, i ziarno zasiane przez niego zeszło i wydało plon obfity.

W Rouen, a następnie i w Paryżu znaleźli się przedsiębiorcy, którzy, pobudowawszy warsztaty według systemu Lee'go, zaczęli wyrabiać towary pończosznicy. Nowe wyroby zyskały wziętość poza granicami kraju. Wówczas to dopiero spostrzegł rząd angielski, jak nieogłędnie postąpił, pozwalając wynalazcy tułać się po obczyźnie. Uznanie i nagroda, odmówione przedsiębiorcy za życia, stały się udziałem osieroconej rodziny, która za prawo wynalazku swego ojca znaczne otrzymała summy.

W Nottingham powstała pierwsza fabryka wyrobów maszynowych i ztąd rozprzestrzeniła się szybko owa gałąź przemysłu w hrabstwach Derbyshire i Leicestershire, gdzie obecnie setki tysięcy mechanicznych wrzecion w ciągłym są ruchu. W Londynie wyroby pończosznicy stanęły bardzo prędko na niezachwianym gruncie, i już w roku 1657 Cromwell nadał posiadaczom warsztatów Lee'go przywileje cechowe.

W roku 1685, w roku zniesienia edyktu nantejskiego, wygnani protestanci z Anglii zwrócili się głównie do Niemiec, przynosząc z sobą bogaty kapitał, umiejętności i doświadczenia na polu rzemiosł i sztuki. Znaleźli się między nimi liczni pończosznicy, którzy, przynaglani nędzą, wzięli się natychmiast do dzieła, co tem ważniejszem było dla Niemiec, że w Anglii samej zabroniono sprzedawania warsztatów pończosznicy angielskich zagranicę. Postarali się o taki zakaz fabrykanci, pragnący zagarnąć dla siebie wyłącznie ten znaczny dochód, jaki przynosiła owa gałąź przemysłu. Szybki niespodziewany wzrost pończosznictwa w Niemczech, a zwłaszcza w Saxonii, uwieńczył pierwsze próby.

Doniosłość i różnorodność przemysłu tkackiego wytworzonego przez Lee'go polega na wielkiej różnorodności wyrobów — do pięciu tysięcy odrębnych przedmiotów. — Przemysł ten niewyczerpanym jest w pomysłach, niestrudzone w trudach wytwórczych i dostarcza światu coraz-to nowych okazów mody i potrzeby przy coraz wyższej dobroci i tanioci wyrobów.

Godło nadane przez Cromwell'a cechowi pończosznicy w Londynie, jednocześnie z prawami stowarzyszenia rzemieślniczego, przedstawia wynalazcę Williama Lee w tozde księżej, wskazującego ręką na gotową pończochę; obok niego stoi kobieta, trzymająca beczynnie w ręku druty, na znak, że już są niepotrzebne.

Jest to jedyny pomnik poświęcony pamięci genialnego wynalazcy. Potomność zapomniała o tym męczenniku przemysłu — tak, jak nie pamięta o tylu innych bojownikach idei dobrobytu ludzkiego.

Prostym tylko obowiązkiem wdzięczności jest przypomnienie nazwiska Williama Lee tym setkom tysięcy, które dzięki jego wynalazkowi mają chleb i pracę, jak również owym niezliczonym tłumom, dla których wyroby jego wynalazku stały się niezbędnymi.

Z bieżącej chwili.

— Dzienniki petersburskie donoszą, iż piąty zjazd lekarzy odłożony został do miesiąca Maja i jednocześnie z wystawą higieniczną odbędzie się w Petersburgu.

— W d. 1-ym bieżącego miesiąca odbyły się w departamencie kolejowym narady kommissyi specyalnej co do zmiany przepisów w obostrzonym dozorcze sanitarno-lekarskim.

— Warszawskie Tow. Dobroczynności postanowiło wydawać bezpłatne herbaty w dzielnicach miasta zamieszkiwanych przez ludność najuboższą. Przewodniczący wydziałowi wsparć, p. Fran. Rydzewski, przyjął na siebie urządzenie i otwarcie tych herbaciarni w kilku punktach miasta. Pierwszy z tych zakładów otwarty został na granicy Szmulowizny i Nowej Pragi. Herbata wydawana tu jest od godziny 7-mej zrana a najbiedniejsi otrzymują do niej i chleb. Dozór nad tym aktem dobroczynnym przyjął na siebie opiekun ubogich XII-go cyrkulu, p. Nawrocki, oraz p. Wanda Nawrocka.

— Portret ś. p. Wład. Kronenberga, który uposażył Warszaw. Tow. Dobroczynności znacznym zapisem, zostanie zawieszony w sesyjonalnej sali Towarzystwa. P. Leopold Kronenberg zabezpieczył na rzecz sierot tegoż Towarzystwa na dobrach swoich zapis ś. p. Władysława Kronenberga i oświadczył, iż w przeciągu miesiąca uskutechni spłatę zapisu w summie 200.000 rs.

— Urządzone zostały na Powiślu kuchnie, mające dostarczać bezpłatnego pożywienia najuboższej ludności tej dzielnicy miasta. Kuchnie te mieszczą się w niewielkich, czasowego istnienia budynkach z desek z czerwonymi chorągiewkami, w pobliżu ulicy Bednarskiej, oraz przy przewoźnie na Solec, i przy drodze wiodącej z Pragi na Saską Kępę. Uboga ludność tych okolic miasta ciśnie się do tych kuchni, gdzie dostaje jedną jakąś potrawę: kaszę, lub kluski ze słoniną i odwar mięty.

— Utworzył się w mieście naszym komitet pragnący urzeczywistnić projekt ś. p. Ignacego Kaufmana z celem zawiązania towarzystwa, opieki nad chorymi w domach. Ustawa została już spisana i wniesiono do władzy podanie o pozwolenie tymczasowej działalności towarzystwa, zanim potrzebne formalności zostaną dokonane.

— Biblioteka pozostała po ś. p. Wacławie Maciejewskim, historyku i profesorze uniwersytetu warszawskiego, została złożona w 1883 r. w Banku Polskim. Księgozbiór ten, zamknięty w 11 skrzyniach, oceniony został wtedy na 1.300 rs., że przeciwko obecnie przestano wnosić opłaty za składowe, wystawionym ma być na licytacyą i sprzedanym na pokrycie długu, który wynosi 314 rs.

Nowa biblioteka uniwersytecka ozdobiona będzie rzeźbami. Nad grupą przedstawiającą apoteozę Wiedzy i Nauki pracuje już rzeźbiarz Marczewski; nad płaskorzeźbą, na której Junona przedstawia naukę bogom Olimpu—Woydyga.

— Komitet Tow. Sztuk Pięknych podaje do wiadomości ogółu, że w miesiącu Styczniu przyszłego roku odbędzie się konkurs rzeźbiarski, na który kwalifikują się wszelkiego rodzaju dzieła rzeźby, snycerstwa i medalierstwa, wykonane wciągu ostatnich lat trzech z usunięciem wszelkiej wszelkich kopii i dzieł artystów zmarłych przed tym terminem. Deklaracye należy przesyłać w formie listu najpóźniej po dzień 15-ty Grudnia, samo zaś dzieło po dzień 31-szy Grudnia. Nagrody konkursowe wynoszą: — pierwsza: 600 rs., druga 300 rs., trzecia 200 rs. Oprócz tych nagród będą przyznawane listy pochwalne.

— Warszawa ma obecnie siedm kobiecych szkół malarstwa stosowanego do przemysłu, lecz żadnej szkoły takiej dla mężczyzn, i podnoszą się głosy żądające szkoły męskiej rysunku z oddziałem sztuk stosowanej do przemysłu. Przypuścić trzeba, że szkoła taka zgromadziłaby znaczną liczbę uczniów. Obecnie w braku tego wielu kształcących się do wyższego stolarstwa, ślusarstwa brać musi lekce prywatne, o wiele kosztowniejsze, więc przystępne tylko dla niewielkiej liczby osób.

— Domki dla rzemieślników i robotników znajdują się we wszystkich większych miastach Nie-

miec, Francyi, Anglii, niemal w całej Europie i brakuje ich tylko u nas, z wielką szkodą dla miast naszych, dla naszych klas pracujących. W sierpniowym zeszycie *Przeglądu technicznego* kwestya ta była podniesiona, czy przeciwko skutkiem potrzebnym? A nie pierwszy to już raz myśl o tem przedstawiła się u nas umysłom. W 1861 utworzyło się nawet towarzystwo, które zbudowało wedle planów budowniczego Marconiego dwa duże domy dla robotników, typu francuzkiego i trzy domki małe, typu angielskiego z ogródkami; ale usiłowania te nie dały pomyślnych rezultatów; ludność nasza pracująca niechętnie zamieszkiwała te przeznaczone dla niej i według jej potrzeb zbudowane domy 4%, co nie było rzeczą zachęcającą dla kapitalistów, którzy przedsięwzięcie to podjąć-by zamierzali, przeciwko nie opuszczono rąk zupełnie. Po kilku latach zbudowano na Pradze ośm domków robotniczych na dwie rodziny; każdy miał ogródek własny; a było to kosztem fabryki stali i robotnicy tej fabryki zamieszkiwali w nich chętnie. W Żyrardowie, w Łodzi pobudowano wiele domów dla robotników, ale na tem ruch ten się ograniczył. W Niemczech przeciwko przedsięwzięciu to rozwija się z najpomyślniejszym skutkiem; budowanie dużych kamienic, urządzonych na podobieństwo koszar, nie utrzymało się, ale domki małe na jedną, dwie, najwyżej cztery rodziny, otoczone ogródkami, okazały się bardzo szczęśliwym przedsięwzięciem, które przeciwko pobiera od lokatora opłatę w stosunku pięć od sta wartości domu i gruntu, na którym się wznosi. Koszt domku dla jednej rodziny przedstawia 8.000 do 12.000 marek dla dwóch od 12.000 do 15.000, dla czterech od 20.000 do 25.000 m. przeciwko domki mniejsze, dla dwóch rodzin są najwięcej poszukiwane. Byłoby tak niezawodnie i u nas; domki te zamieszkuje tam niekoniecznie ludność robotnicza, lokatorzy z klasy inteligentnej a niezamożnej, lub średnio zamożnej cisną się do nich, co z pewnością powtórzyłoby się i u nas.

— Umarł na Pradze człowiek bardzo zasłużony, Felix Bruszewski, który przez trzydzieści lat dzierżwiąc most na łasze Wisły między Pragą a Saską Kępą, uratował w przeciągu tego czasu życie 80 tonących, za co otrzymał kilka medali i listów pochwalnych. Roztaczał też opiekę nad rybami, nie pozwalał tępić ich nieodpowiedniemi wyławianiem, obok tego kupował za własne pieniądze zarybek i puszczał go do Wisły.

— Spółka kapitalistów francuzkich założyła w dobrach hr. Leona Pusłowskiego w powiecie słonimskim, w Albertynie, fabrykę przędzy jedwabnej. Fabryka będzie w ruch puszczona w bieżącym jeszcze roku. Dowód to pomyślny, że jedwabnictwo nasze już może dostarczyć tu odpowiedniego materiału. Gałąź ta pracy kobiecej może liczyć obecnie na zbyt produkcji swojej.

— Budowa biblioteki uniwersyteckiej jest bliska ukończenia. Roboty odbywają się już wewnątrz frontowej części gmachu.

— Do trzydziestu trzech meteorologicznych stacyi naszych przybyła jedna jeszcze po prawej stronie Wisły, we wsi Ciśło.

— We Lwowie odbywają się pod przewodnictwem ks. Adama Sapielhy posiedzenia komitetu wystawy krajowej, mającej się odbyć w 1894 r. Dyrektorem wystawy jest już mianowany poseł Marchwicki, dyrektor banku lwowskiego. Prezydentami honorowymi są: minister handlu Bacquehem, minister rolnictwa hr. Falkenhayn, minister dla Galicyi Filip Zalewski, namiestnik hr. Badeński, oraz marszałek krajowy książę Sanguszko. O przyjęcie protektoratu nad wystawą prosić będzie Franciszka Józefa odpowiednia deputacya.

— Czasopismo wiedeńskie, poświęcone sztuce, „Allgemeine Kunstchronik,” podaje ogólnie wzięty sąd o przedstawieniach naszych w Wiedniu, oceniając je bardzo przychylnie, jakkolwiek nie zakrywa obok tego i stron rzeczy słabych. Muzyce Moniuszki przyznając zasługę swojskości, wylicza wśród utworów jego ustępy, które nazywa perłami w skarbcu ogólnej muzyki. „Halkę” przenosi nad „Straszny Dwór.” „Krakowiaczy i górale” podobają mu się bardzo, jako wesoly, miły obrazek etnograficzny, jakkolwiek muzyka zapożycza się tu od innych twórców polskich.

— Właściciel dóbr Szutromince, Józef Kalixt Hohendorf, przeznaczył testamentem sporządzonym na przypadek swojej śmierci dobra Szutromince oraz 150.000 złr. w papierach publicznych—razem cały swój majątek na utworzenie fundacyi jego imienia, której celem ma być podniesienie rolnictwa w Galicyi przez założenie w Szutromincach szkoły rolniczej, dla młodzieży chrześcijańskiej, polskiej i rusińskiej. Obok czego Szutromince mają stanowić obraz gospodarstwa postępowego. Fundacya ma rozpocząć działalność swoją najpóźniej w przeciągu lat 10 po śmierci fundatora. W zakres fundacyi wchodzi udzielanie stypendyów na kształcenie się młodzieży galicyjskiej w rolnictwie postępowem. Zarząd jej zostawiony został wyłącznie namiestnictwu.

ZAWIADOMIENIE.

Komitet zarządzający Kasą pomocy dla osób pracujących na polu naukowem, imienia J. Mianowskiego podaje do wiadomości, że z zapisu Jakóba Natansona przyznane zostaną w r. 1893 dwie nagrody pieniężne.

Jedna nagroda przyznana będzie za najlepszą pracę z dziedziny nauk ścisłych (matematyka, nauki przyrodnicze włącznie z biologicznymi), ogłoszoną drukiem w języku polskim w latach: 1889, 90, 91 i 92; druga za taką pracę w dziedzinie nauk społecznych, filozoficznych, prawnych lub tym podobnych.

Zgodnie z ustawą Kasy pomocy i stosownie do zastrzeżeń uczynionych przez zapisodawcę, powyższe nagrody udzielone być mogą jedynie: poddanym rossyjskim, mieszkańcom Królestwa Polskiego, w Królestwie urodzonym.

Komitet zarządzający Kasą własnem staraniem usiłuje zebrać, dla poddania ocenie, prace ogłoszone drukiem w wymienionym okresie; dla uniknięcia jednak możliwych przecieżeń prosi o składanie prac, o których mowa, w biurze komitetu (Bank Handlowy) lub na ręce jednego z członków komitetu przed końcem Lutego 1893 r.

Prezes komitetu *Dr Ignacy Baranowski.*
Członek komitetu

Sekretarz: *Dr Konrad Dobrski.*

Do dzisiejszego numeru „Bluszczy” dołącza się: Arkusz 9 i 10 tomu II powieści pod tytułem **Złudzenie i rzeczywistość**, przez Beatrycę Whitby, przekład z angielskiego.

TREŚĆ: Dobra matka, przez M. I.—Mgła. Powieść oryginalnie napisana przez M. Gawalewicza (dalszy ciąg). — Przegląd teatralny, przez Stanisława Krzemińskiego.—Maniak, charakterystyka przez Helenę Cajsynger (dalszy ciąg).—Z dzieła przyrody, przez G. D. — Los wynalazcy. — Z bieżącej chwili.—Zawiadomienie.

Dodatek obejmuje: Arkusz 9 i 10 tomu II-go powieści pod tytułem **Złudzenie i rzeczywistość** przez Beatrycę Whitby. Przekład z angielskiego. Przegląd mód. 34 wzorów i robót z opisem.—Sekreta gospodarskie.—Dyspozycya stołu.

GOSPODARSTWO MIEJSKIE I WIEJSKIE.

Pogawędka gospodarcza.

Jeszcze kwestya paliwa, porządków kuchennych, zmywania i szorowania. — Kantor spożywczy Karpińskiego. — Massa do podłóg.

Tyle się już mówiło w przedmowie paliwa, a jednak za mało o podstawach racjonalnego gotowania, pragnę zatem dziś parę słów w tym względzie dodać. W ogóle służba u nas nie tylko w mieście, ale i na wsi nie zna i nie rozumie wartości paliwa; przy dzisiejszem wytrzebieniu lasów naszych i przy wysokiej cenie tak węgla jak drzewa, należy koniecznie, aby panie same osobiście wglądały w urządzenie ogniska kuchennego. I tak: opalanie i gotowanie wymaga zachowania pewnych prawideł. Wieczorem zanim kucharka się uda na spoczynek, powinna oczyścić ognisko z popiołu, a na ruszcie ułożyć połupane drobno drzewo na podpałkę, aby przez noc przeszło, szczególnie, jeżeli jest nie zupełnie suche. Można także taką podpałkę włożyć w piecyk pod blachę dla wysuszenia, ale to nie upraszcza tak roboty, bo wyjęty popiół wyrzuca się zaraz razem ze śmieciami wieczorem i ognisko jest już gotowe do rozpalenia. Drzewo do palenia, czy to w piecach czy w kuchni, powinno być krótko porznięte, a drzewiczki od ogniska w kuchni podczas gotowania zawsze zamknięte. Są to rzeczy elementarne, ale potrzebne do wiadomości młodych a chcących praktycznie gospodarować pań. Przy rozpalaniu ognia należy wszystkie otwory w blasze ponakrywać, i nigdy nie używać większej ilości podpałek do rozniecenia ognia nad jedną drzazgę w braku podpałek, jako też jedną zapalną, o którą od razu zapalić podpałkę. Służące nasze do rozpalenia jednego ogniska używają często 20, tak dwudziestu zapalek, lepiej już wtedy, niech zapala małeńką blaszaną lampkę, którą się używa do piwnicy przy braniu węgla. Lampka taka kosztuje 5 kop. a knot się robi z grubej bawełny. Nie należy nigdy rozpalać ognia, zanim nie są przygotowane przedmioty, mające być zaraz na ogień wystawione. Ogień nie powinien być niepotrzebnie podniecany i utrzymywany w piecach kuchennych bez potrzeby, co jest zwykłym przyzwyczajeniem kucharek a naraża tylko na straty. Jeżeli potrzeba coś prędko zagotować, wrzucić troszkę drobno połupanego drzewa lub miału od węgla, który się pali jak drzazga, nie zasypując jednak ognia, co ma miejsce, jeżeli się go od razu za wiele włoży, na wsi zaś są zawsze na takie usługi kupy wiórów, które należy kazać zbierać i wypalać, nie pozwalając robić z tego gnojowiska. Skoro się zaś ma coś gotować dłużej i nieprzerwanie, to niepotrzebnym jest rozniecanie silnego płomienia, może on być słabszym, postępując się potrochu węglem, torfem i t. p. Nigdy nie należy podtrzymywać tak silnego płomienia, aby potrawy wykypić mogły, a tym sposobem się przygotowały, głośne bowiem kłębowanie się goto-

wanej potrawy na blasze zalicza się do grubej niewiadomości lub niedbałości kucharki. Podczas gotowania, powinien zawsze stać na blasze garnek z czystą wodą, potrzebną ciągle do dolewania gotujących się potraw. Co do wody, zapotrzebowanie jej w kuchni jest nieustanne i dla tego zapas takowej powinien być zawsze dostateczny, nie powinno na niej zbywać nawet w nocy. W kuchniach zaopatrzonych wodociągami należy zawsze wieczorem zebrać w większe jakie naczynie pełno wody, zdarzyć się mogą bowiem nagłe wypadki, w których najmniejsza zwłoka lub opóźnienie uczyni późniejszą pomoc bezskuteczną. Garnek, kwarta blaszana lub duża głęboka pół-kwartowa warząchew, przeznaczone do nabierania wody, powinny być jak najczystej utrzymywane, czyszczone i wysuszone. Z własnego doświadczenia tu dodaje, iż mając taką łyżkę miedzianą pobielaną, tylko do wody przeznaczoną, pomimo czyszczenia muszę ją dwa razy na rok dawać do pobielania, a raz na tydzień w sodzie z sodą wygotować.

Zamiatanie kuchni jest również czynnością, na którą pani powinna zwrócić uwagę. Pierwszym tu warunkiem jest miotła, bo nigdy deski zanieczyszczone piaskiem i różnymi wilgotnymi odpadkami nie można zamieść dobrze szczotką, lecz tylko miotłą, w rzeczach tych najumiejętniejsze są wiejskie dziewczki, któreby się w oczy rozśmiały, gdyby im kto kazał zamiatać szczotką. Przedewszystkiem powymiać z kątów śmiecie a następnie posuwać należy miotłą powoli, bo to zapobiega rozkurzaniu się pyłu, osiadającego na sprzętach kuchennych, i miotła się nie tak prędko niszczy; przed wyrzuceniem śmieci należy przejrzeć, czy nie znajdują się jakie drobne zgubione lub potrzebne przedmioty. Papier i wiórki drzewne odłożyć na komin do spalania, a kości i gałgany kazać wrzucić do przeznaczonego na to worka, jako dochód kucharki, którą należy nauczyć, aby je sprzedawała w większej ilości dopiero, bo za małą zaledwie kilka groszy placą eksploatujące je baby. Przy tej sposobności przypominam mi się jeszcze jeden dochód kuchenny skórki zajęcze, z którymi załatwiam się w ten sposób, że jeżeli zajęc dobrze upieczony, kucharka dostaje skórki, jeżeli źle, pieniądze za skórki idą na rozdanie przychodzącym biednym, o których nigdy nie trudno. Skórki zajęcze mają wartość od 20—30 kop., dopiero podczas mrozu, to jest od Grudnia do Marca, wcześniejsze i późniejsze nie mają już puszystego włosa, za który właściwie placą, bo w Paryżu farbują ten puszysty włos na wszystkie kolory, i ztąd powstają owe fantazyjne futra boa i t. p., którymi tak hojnie szafuje handel francuzki. Skórki z młodych zajęcy przedstawiają wartość zaledwie 10 kop. W dalszym ciągu porządków kuchennych pamiętać należy, iż miotły i miotełki trzeba od czasu do czasu wytrząpywać i wymywać w letniej wodzie z sodą a następnie wysuszyć. Zlew pod wodotryskiem powinien być zawsze czysto utrzymywany, nigdy nie zapełniony żadnymi stalami materyałami, do czego powinien stać w kuchni oddzielny koszyk, przeznaczony do wrzucania ich, a jak na wsi, do zużytkowania dla trzody.

Otwór rury odprowadzającej ciecze, powinien być przykryty szczelnie dopasowaną pokrywą, aby powstrzymać wnikanie do kuchni nieprzyjemnej woni i szkodliwych wylęgów. Otwieranie drzwi i okien w kuchni powinno się powtarzać jak najczęściej w ciągu dnia. Co do zmywania wszelkich sprzętów tak kredensowych jak i kuchennych, zalecam przedewszystkiem, aby w kuchni stała zawsze na bocznym stoliku wanienska blaszana pełna, powtarzam pełna zimnej wody, w którą kłaść należy wszelkie szlanki, kieliszki, filiżanki, talerzyki deserowe, słowem szkło i porcelanę, o ile takowe nie są załuszczone, zostawiając je tak w wodzie do czasu swobodnej chwili służącej, która wtedy wyjmując je z wody bez obmywania, bo w obfitej wodzie same przez się już odmieęły, obciera cienką czystą ściereką do szkła przeznaczoną. Obfitość wody w waniencie nie dopuszcza stłuczenia, a szkło nie potrzebuje ciepłej wody do mycia. Podczas zmywania talerzy, łyżek, noży i t. p. owa wanienska napełniona wodą służy do opłukiwania, bez czego żaden statek nigdy czysty, lecz nawet po obtarciu chropowaty zostanie. Zwracam uwagę, iż noże i widelce nigdy w gorącą wodę nie powinny być wkładane, lecz obmyte ciepłą wodą z tłuszczem, wytarte do sucha, a następnie czyszczone na deseczce pokrytej skórą, tłuczoną i przesianą cegłą lub proszkiem szarym, do noży sprzedawanym w składach żelaznych. Do talerzy i t. p. przedmiotów można mieć pomywak płócienny, do garnków jednak i rondli najlepiej używać rogózki, którą kraje się na kawałki, przeznaczając jeden do szorowania rondli, drugi do zmywania wewnątrz garnków i naturalnie wypłukując je codziennie, po skończonym zmywaniu. Porządna kucharka ma zawsze w użyciu kilka takich pomywaków. Przez twardość i giętkość swą zastępuje rogózka szczotkę. Garnki żelazne wycierają się piaskiem lub nawet solą, mosiężne, oraz miedziane pobielane, po wymyciu gorącą wodą wyciera się rogózka, przesianym popiołem węglowym, emaliowane zaś rzeczy wymywa się gorącą wodą, i wyciera do sucha grubym płótnem. Wszelkie zaś statki, tak garnki, jak rondle, sita i t. p. po wyszorowaniu powinny być na blasze obsuszone i dopiero suche wstawione we właściwym miejscu. Po za tem wszystkim rondle pobielane i wszelkie pobielane przedmioty, powinny być raz na tydzień wygotowane z sodą, inaczej pomimo największego czyszczenia na pobiale formują się czarne smugi, które są szkodliwe zdrowiu, czego rozumna i staranna gospodyni nie powinna dopuścić, dbając o zdrowie domowników. Na ściereki do szorowania podłogi bardzo jest korzystnie używać worków od soli, które robione z miękkiej przędzy doskonale zbierają wodę.

Wszelkie tu zamieszczone uwagi, czerpane z praktyki, pragnęłabym, żeby mogły dojść do wiadomości kucharki, która tym sposobem przywykająca do praktyki, ładu i porządku, nie tylko zostanie zawsze staranną, ale będzie mogła jeszcze pouczać inne.

Kończąc dzisiejszą pogawędkę, pozwalam sobie jeszcze przypomnieć gospośiom kantor mate-

ryałów gospodarczych pana Karpińskiego przy ulicy Włodzimierskiej Nr 19, który przeniesiony został celem wygodnienia klienteli z 3-go piętra na parter. Kantor dostarcza do domu wszystko, powtarzam wszystko, czego gospodarstwo domowe potrzebuje, z wyjątkiem mięsa i jarzyn. O pożyteczności takiego zakładu dowodzą rozwinięte podobne zakłady w całych Niemczech; po- ciąga to bowiem za sobą systematyczne ułożenie budżetu domowego; nadto unika się wszelkiego nadużycia, tak ze strony służby, jak ze strony handlującego, co dla młodych nieobeznaczonych gospodyń jest bardzo ważne; w końcu p. Karpiński stałym swym klientom dodaje 2% towaru, jako dywidendę, pod każdym więc względem zakład taki ma u nas prawo bytu, niechby się tylko panie nie leniły małej fatygi kwitowania przyniesionego towaru. Wszelkie materiały opa- łowe dostarcza kantor, węgle w koreach lub pół- korcowych oplombowanych koszach najpierwszych firm, naftę i t. p. Raz wyrachowawszy doświadcze- niem ile węgla się wypala, nie może być mowy o większej ilości, a służąca musi się pilnować aby jej wystarczyło.

Przy jesiennych porządkach radzę nie urządzić massy terpentynowej w domu z obawy wypadku z ogniem, gdyż zupełnie za tą samą cenę do- starcza gotową masę zakolorowaną lub czystą skład materiałów aptecznych Spiess'a, Plac tea- tralny. L. C.

O utrzymaniu w należywym rozwoju roślin pokojowych.

Mnóstwo roślin pokojowych, nabywanych w za- kładach ogrodniczych, wielkim nieraz kosztem, po krótkim przeciagu czasu marnieje do szczytu. Pochodzi to z braku doświadczenia, lub nietraf- nego obchodzenia się z rośliną—a często i z nie- dbalstwa. Osoby miłujące kwiaty, powinny być mniej więcej obeznane z ich potrzebami i nie po- zostawiać w rękę służby, opieki nad tą cenną ozdobą swojego mieszkania.

Błędnem jest mniemanie, że obfite polewanie doprowadza rośliny do rozwoju i kwitnienia. Ro- ślina potrzebuje vegetacyi a nie zbytku wody, a częste polewanie doprowadza do żółknięcia li- ści i gnicia korzenia. Zwracać więc należy uwa- gę na suchosć ziemi i wtedy tylko polewać, gdy się tego widoczna okazuje potrzeba. Niektóre rośliny zadawalniają się polewaniem co drugi lub trzeci dzień, wodne zaś prawie dwa razy dziennie. W porze zimowej, szczególnie zach- ować należy ostrożność polewania. Kaktusy i ce- bulowe rośliny, polewać tylko wówczas gdy zie- mia zupełnie jest suchą i to w czasie pogodnie- go powietrza a nigdy gdy słońce przyświeca. Pod- stawki i miseczki zwykle stawiane pod doniczką, są również powodem niszczenia rośliny, bo przy- czyniają się wiele do gnicia korzenia i kwa- śnienia ziemi. Woda przechodząc przez ziemię, zatrzymuje się na miseczkach i w stanie stęchłym powraca do korzenia, któremu wówczas udziela trujących swoich części. Należy więc podstawy po każdym polaniu najstaranniej oczyścić, a na- wet roślinę od czasu do czasu pozostawić bez pod- stawki, aby korzeń miał możność dojść do zu- pełnej suchości. Oprócz tej ostrożności należy również strzedz roślinę od żyjatek ukazujących się na liściach pod postacią plamek żółtych lub czerwonych, lub też ukazujących się w ziemi ro- baczek i glizd. Pozbyć się można łatwo tej nie- dogodności starannem obmyciem liści czystymi mydlinami a następnie opryskaniem pyłem siar- czanym. Powtóżyć to należy po kilkakrotnie, poczem roślina powróci do dawnej swej siły. Co do glizd i robaczek w doniczkach, pozbyć się ich tylko można przesadzeniem rośliny, gdyby zaś pora nie była ku temu sposobna, należy od- powiednie naczynie napełnić dobrze osoloną wo- dą i roślinę z doniczką tak w niej umieścić, aże- by woda słona dochodziła górnej powierzchni. Po chwili robaki wyjdą na wierzch i łatwo da- dzą się usunąć. Mniej one jednak są szkodliwe

roślinie, jak owe mszyce i pajęczki na liściach, które głównie powodują obumieranie i zagładę rośliny, a pochodzą li tylko z nieumiejętnego lub zbyt częstego polewania. N. B.

Kwiat gwoździka w Ameryce.

Gwóźdźnik jest dziś najulubieńszym kwiatkiem w Ameryce i amatorstwo to ciągle wzrasta. Sprze- czka o posiadanie najpiękniejszego okazu tego kwiatu zajmuje wszystkie klasy towarzystwa amerykańskiego; jeden z członków „Florist-klubu“ ofiarował, za najlepszy gatunek nasienia gwoź- dzika srebrny puchar, wartości 60 dollarów. M. I.

Pończochy kolorowe i pielęgnowanie nóg.

Przy obecnem używaniu pończoch kolorowych a farb nie zawsze czystych i sprzyjających zdro- wiu, należy większą jak kiedykolwiek zachować ostrożność w pielęgnowaniu nóg, a mianowicie: po każdym zdjęciu pończochy, która zafarbowa- ła nieco ciało, trzeba koniecznie nogi obmyć a w razie oporu farby nacierać nogi cytryną. Nie mniej też odmieniac często pończochy, po- nieważ w piętach i podeszwach tkanki potowe zajmują przeważnie swoje siedlisko, a odłączony tutaj pot na pończochy, powraca do ciała, co spowodować może rozmaite dolegliwości szkodli- we zdrowiu. Osoby zmuszone do częstego wy- chodzenia, powinny szczególnie baczyć na czy- ste utrzymanie nóg, tak trudne przy używaniu kolorowych pończoch, a w każdym razie pończo- chy jak najczęściej odmieniac, ażeby nie dopu- ścić przesiąkniętym wyziewom powrotu do ciała. N. B.

Oczyszczanie ram pomalowanych na kolor czarny lub brązowy.

Nalać kilka kropel petroleum na welniany gał- ganek i tem dobrze wycierać ramy, poczem wy- trzeć suchym miękkim gałgankiem. N. B.

Sposób przywrócenia smaku masłu zjeleżałemu.

Przed użyciem zasmażyć na biało, zdjąć sta- rannie utworzoną pianę i wrzucić w rozpuszczone masło kawałek ususzonego chleba, ale nie przy- palonego. Pozostawić na ciepłym trzonie kilka minut. Chleb wyciągnie do szczytu nieprzyjemną woń i smak. N. B.

Ciasto do obsmażania nóżek cielęcych, jabłek i t. p.

Dwie łyżki mąki pszennej rozbić z dwoma łyż- kami piwa, dolać łyżkę oliwy, i pianę z jednego białka. Kiedy rzecz do smażenia przeznaczona ma się już smarzyć, wsypać sody tyle co 1 ziarnko grochu, kremortartaru tyle co 3 ziarnka grochu wymieszać szybko, maczać w tem cieście, pilnu- jąc, aby wszędzie było oblepione i zaraz rzucać na tłuszcz gorący, to jest fryturę, bo tylko na niej się dobrze ciasto smarzy. Sprobować pier- wej jedną kroplę, ciasto rzuciwszy na patelnię, czy frytura jest dostatecznie gorąca, jeżeli syczy i smarzy się, to można rzucić jabłka lub nóżki. Ciasto będzie jakby na drożdżach robione. L. C.

Najlepszy sposób używania olejku rycinowego.

Flaszeczkę z olejkiem wstawić w garnuszek z ciepłą wodą dla rozgrzania olejku. Mieć wolną lekką herbatę nalaną w filiżankę, wlać na łyżkę stołową łyżeczkę ciepłej herbaty, na to wlać ole- jek, otworzyć mocno usta i wpuścić łyżkę z ole- jkiem, popijając natychmiast gorzką ciepłą her- batą. Tym sposobem brany, ani się w ustach rozmaże, ani się przypominać będzie, gdyż cie- pły olejek nie będzie już tak gęsty i marzący się jak zimny. L. C.

Obiad na Niedzielę.

1. Zupa śliwkowa.
2. Flaki z pulpetami.
3. Jarzynki „macédoine“ z grzankami.
4. Pieczeń barania „à la sarna.“
5. Krem czekoladowy.

Doświadczenia praktyczne

Karmelki cytrynowe i malinowe, leżąc parę tygodni nawet w papierkach zawinięte, rozpusz- czają się zupełnie na lepki płyn.

Klamki można czyścić pomadką, ale po oczysz- czeniu wytrzeć zaraz kredą na sucho welnianym gałgankiem, inaczej zmatują się za każdym dot- knięciem ręki.

KORRESPONDENCYA.

Odp. pani Izabelli S...

Nalewka na tarkach robi się dopiero, gdy tarki przemarzną. Postaram się wkrótce dać w Bluszczu przepis na nią.

Odp. pani J. R...

W dalszym ciągu na zapytania pani odpowia- dam. Jak uszyć bieliznę i poduszkę dla nowona- rodzonego dziecka. podaliśmy wzór, formę i spo- sób wykonania w N-rze 24 r. b., a oprócz tego w roku zeszłym był cały numer poświęcony samej bieliznie dla niemowląt, który pani, jako stała pre- numeratorka raczy u siebie przejrzeć. Najkorzyst- niej uszyć wszystko w domu, gdyż w domu łatwiej o stare miękkie płótno, z którego szyje się taka bielizna, jednak i w składzie Żyrardowskim znaj- dzie pani gotowe wszystko.

OGŁOSZENIA.

WYDAWNICTWA

L. Ćwierczakiewicz.

1. Kolęda dla gospodyń. Kalendarz na rok 1892 (rok 17-ty). Cena kop. 50.
2. Podarunek ślubny czyli „Kurs gospodar- stwa dla kobiet“ (wydanie 2). Cena rs. 1.
3. „365 Obiadów“ (wydanie 16) rsr. 1 kop. 80 w oprawie.
4. Jedynie praktyczne przepisy konfitur, mary- nat, wędlin, ciast, wódek, likierów, za które au- torka nagrodzoną została medalem złotym (wyda- nie 14). Cena rs. 1 kop. 30 w oprawie.
5. „Poradnik porządku i różnych higienicz- nych wiadomości“ (wydanie 3). Cena kop. 70.
6. Nauka kwiatów bez pomocy nauczyciela z 239 rycinami. Cena rs. 1.

PRZEGLĄD MÓD.

Co modne jest i będzie.—Materiały i gatunki, przywiezione przez panią Heurich.—Magazyn Mercère, Nowy-Swiat 20.—Zakład reperacyjny i przerabiania, Warecka 14.—Tanie bardzo firanki u pani Mireckiej.—Co haftarnie nasze wysłały na wystawę do Chicago.

Na zimowy sezon, jak zwykle, głównie ciemne materiały mają pierwszeństwo. Diagonal materiały w ukośne prążki przoduje innym, jest też mnóstwo tego rodzaju odmian, a wszystkie mieniające. Jest to dobre naśladowanie owego materiału, który w lecie błyszczał jak aksamit w witrynach pana Makowskiego, a który przez wypukłą nitkę i refleks dwóch kolorów ludził barwą aksamitu. Wszystkie prawie tak grubsze jak cieńsze materiały są prążkowane, oprócz zwykłych klasycznych, jak sukienka „draps des dames,” lub angielskie niespożycie modne „knickerbocker.” Nad tem wszystkim jednak góruje jako „haute nouveauté” krata. Nie jest to owa dawna, różnokolorowa krata zagwadzana, którą nawet u nas łódzkie wyroby świecą, ale krata o szerokich konturach, na ciemnym tle, jasną barwą jedwabiu błyszcząca, przez ciemno-wisniowe przechodzi na pół centimetra szeroka blade-niebieska, na zielonym ponsowa i żółta w dwóch kolorach. Czarna, na podwójnym tle o 2-ch kolorach przechodzi cieniutka krata biała, żółta i ponsowa; a gdzie tylko kolor biały wchodzi, już świetna barwa jego podnosi piękność całej tkaniny. Przez grubsze prążkowane materiały przechodzi zwykle tylko jeden kolor blade jedwabnej kraty, jak: blade-różowy, blade-niebieski, dalja, lub „corail,” niektóre kraty i to najmodniejsze są w odstępie 20 do 25 cent., a wtedy przechodzą tylko dwa kolory, każdy oddzielnie, jedwabne na 1 cent. szerok. W ogóle wszystkie gładkie materiały jesienne „demie saison,” a nawet wiele zimowych są mieniające, jest to wybitna cecha tegorocznej mody.

Oglądaliśmy właśnie śliczne materiały, przywiezione przez panią Heurich, która nader zręcznie umie dobrać barwy materiałów zgadzające się z sobą. Naj-



Nr 3. Tylna część do sukni Nr 8.

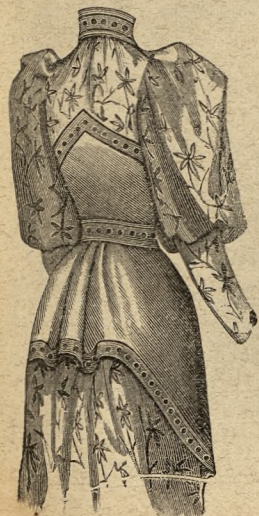
Nr 4. Tylna część do sukni Nr 9.

Nr 5. Tylna część do sukni Nr 17 w Bl. Nr 42.

większym „genre” są grube welny rozcieniowane w kolorach zielono-seledynowym i zgnilego mehu w szerokie cieniowane pasy, zwane „Macdonal lub Ruyblas,” jest to doskonała gruba wełna po 2 i 2½ rs. łokieć, rozumie się podwójnej szerokości, bo innej w welnie już nie bywa. Drugą seryę stanowią welny szkockie, tak zwane tartany, które bywają cieńsze i grubsze, są jednak między nimi gatunki i ceny rozmaite; tartany po rs. 1, inne po rs. 1 kop. 25, lub rs. 1 kop. 50. Niektóre są śliczne w dużej kratę, przez którą przechodzi jeden prążek biały, lub kremowy jedwabny, inne w drobniejszą kostkową kratę o jasnych kolorach: ponsowym, żółtym, zielonym, zawsze na tle czarnem lub granatowem po rs. 1 kop. 50, te ostatnie, jako jaśniejsze, przeważnie są używane na bluzki do ciemnych spódniczek z paskami. — Wiemy, że „diagonal” jest to materiał ukośnie prążkowany, ale nowością w tym kierunku jest wełna lżejsza, nie równo prążkowana, niby w festony a przytem mieniająca, zowie się „crêpe changeant” po 2 rs., zastąpić to może każdą jedwabną suknię, materiał francuzki (alzaccki). Dalej pokazywano nam ów śliczny wyrób „velours épinglé” aksamit wełniany mieniający w ciemnych barwach, różnych gatunkach, i co zatem idzie i różnych cenach.

W końcu są i trwałe angielskie wyroby wieczne modne, wiecznie w kolorach szarych i popielatych, a nigdy jaskrawych barwach. Nowością są na szarem tle białe cieniutkie jak nitka paski i czarne drobne supelki. W tych dniach został otworzony nowy magazyn pani Mercère, Nowy-Swiat 20, gdzie obok nauki kroju wykończają starannie suknie krojem francuzkim. Powrócimy jeszcze do tego magazynu, pisząc o kapeluszach.

Z dziedziny pracy naszej, to jest kobiecej, mamy kilka rzeczy do zanotowania. Najważniejszą, że doczekaliśmy nareszcie założenia na wzór zagraniczny zakładu reperacji i przerabiania garderoby damskiej. Jest to zakład bardzo pożyteczny, gdyż dziś przy ogólnej zarobkowej pracy kobiet, mało która z tej warstwy ma czas na reperacje lub przerabianie sobie starych sukien, okryć, kapeluszy i t. p. a wiemy, co kosztuje sprawienie nowych rzeczy, kiedy przy dobrej chęci, znajomości rzeczy



Nr 6. Tylna część do sukni Nr 22.



Nr 7. Tylna część sukni Nr 21.

Nr 2. Suknia spacerowa.

Nr 1. Suknia spacerowa.



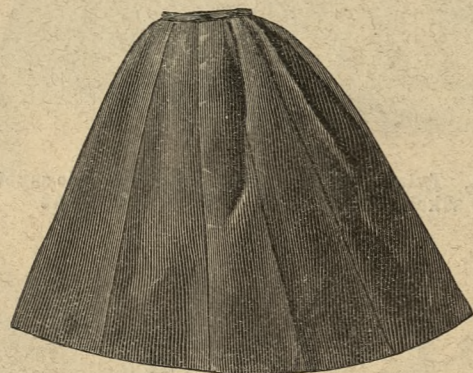
Nr 8. Suknia dla młodej osoby „Marie Louise“ (do ryc. Nr 3).



Nr 11 Rękaw. (Krój odwr. str. tabl. Nr XII, fig. 66—68).



Nr 10. Tylna część sukni dla panielki do ryc. Nr 25.



Nr 12. Spódnica w kliny z materiału jedwabnego. (Krój fig. I—V).



Nr 19. Suknia dla starszej osoby. (Krój odwr. str. tabl. Nr XI, fig. 60—65).

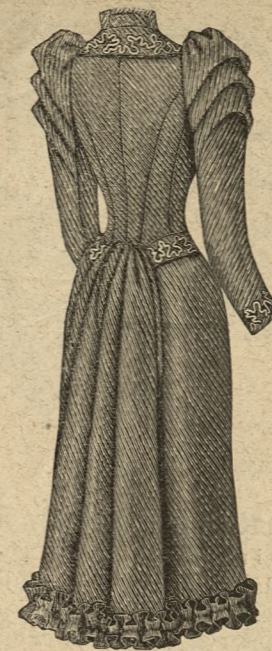
Nr 20. Suknia wieczorowa dla młodej osoby.



Nr 16. Kapelusz z aksamitu.

Nr 17. Kapelusz

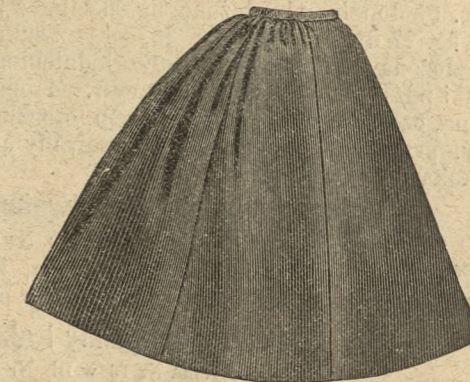
Nr 18. Kapotka z aksamitu przybrana piórami.



Nr 15. Tylna część sukni (do ryc. Nr 16 w Bl. Nr 42).



Nr 14. Rękaw. (Krój odwr. str. tabl. Nr XII, fig. 66 i 68).



Nr 13. Spódnica wełniana w kliny. (Krój fig. VI—VIII).



Nr 9. Suknia wieczorowa dla młodej osoby (do ryc. Nr 4).



Nr 23. Płaszcz jesienny z materiału w kraty i aksamitu (do ryc. Nr 26).

Nr 24. Płaszcz jesienny z wigoni ozdobiony pasanterią (do ryc. Nr 27).

Suknia z długą połą dla panielki 14—16 lat (do ryc. Nr 10). (Krój odwr. str. tabl. Nr IX, fig. 47—52).

Nr 26. Tylna część płaszcza Nr 23.

Nr 27. Tylna część płaszcza Nr 24.



Nr 21. Suknia z atlasu „merveilleux“ (do ryc. Nr 7).

Nr 22. Suknia z materiału jedwabnego gładkiego i w desen (do ryc. Nr 6).

i guście, można ze starych wytworzyć ładną a więcej modną. Otóż pani Seewald otworzyła podobny zakład od 1 Lipca r. b. przy ulicy Wareckiej Nr 14 na parterze, mając specjalistki w tym kierunku. Zyczymy z serca powodzenia, które musi przynieść uczciwa praca a nie wyzyskująca zbytnio, bo wszak zakład taki jest dla mniej zamężnych. Drugą dobrą wiadomością dla oszczędnych pań, jest nowo-założony skład bardzo tanich firanek przez panią Mirecka, przy ulicy Kruczej Nr 23 m. 13.

Na wystawie do Chicago, bardzo estetycznie zaprezentowaną będzie praca kobiet polskich — pani Fiorentini, utrzymująca haftarnię pod firmą „Marie, posłała dwie ogromne chorągwie na białym atlasie, przedstawiające w naturalnej wielkości i naturalnym kolorycie wszelkie płody ogrodnictwa naszego, poczynając od ogórków, szparagów, a kończąc na wspaniałych owocach.
L. C.

Suknia formą „princesse.“

Rycina Nr 1 w Bl. Nr 40.

Suknia z materiału wełnianego prążkowanego koloru granatowego. Rodzaj karczka z tegoż koloru aksamitu, który się przedłuża jak wskazuje ryc. aż do dolnego brzegu. Sznurowy z czarnych pereł i klamry wykończają przednią część zapinaną na ramieniu i z boku. Kolnierz stojący i górne bufiaste rękawy z aksamitu.

Suknia z sukna ozdobiona sutaszem.

Rycina Nr 2 w Bl. Nr 40.

Suknia z sukna koloru gołębiego w dwóch cieniach, ozdobiona tegoż koloru sutaszem przetykanym złotą



Nr 28 Szlak przezroczysty (haft Richelieu).

Płaszczek z materiału „matelasse“ podbity futrem.

Rycina Nr 12 w Bl. Nr 40 i ryc. Nr 4 w Bl. Nr 39).

Płaszczek wolno spadający, złożony z pleców i przednich części, zaopatrzony wewnątrz futrem. Przednie części wolno spadające haftowane, jako też i stojący kolnierz. Pasmanterya wykończa całość podług ryc.

Pelerynka „Henri II.“

Rycina Nr 14 w Bl. Nr 40. (Krój pierw. str. tabl. Nr IV, fig. 27—29).

Pelerynka z sukna koloru zielonego, ozdobiona podług ryc. futerkiem wydry. Po dopełnieniu złożonej fig. skrajając z podszewki jedwabnej i podkładu fig. 27 dwie części; fig. 28, oraz z sukna i podkładu fig. 29 jedną część złożoną wzdłuż środka z uwzględnieniem konturu górnej części peleryny i pozszywać części podług cyfr. Zaopatrzyć pelerynę podszewką futrzaną, część karczka pokryć futrem, otoczyć pelerynę wązkim paskiem wydry, przyszyć kolnierz przygotowany podług fig. 18 i 19 i wykończyć kokardą ze wstążki 5 c. szer.

Płaszczek z pluszu jedwabnego i repsu.

Rycina Nr 15 w Bl. Nr 40 i ryc. Nr 6 w Bl. Nr 39.

Płaszczek z pluszu koloru brązowego, z rękawami tworzącymi rodzaj peleryny. Reps tegoż koloru wykończa całość podług ryc.

Suknia z bengaliny i aksamitu.

Rycina Nr 16 w Bl. Nr 40.

Suknia z bengaliny koloru heliotrop i z tegoż koloru aksamitu. Spódniczka z przodu gładka, z tyłu fałdowana, zaopatrzona cała podszewką. Bluza zapinana na boku. Kaftanik z aksamitu. Szarfa związana podług ryc. z wstążki szerokiej repsowej, skrzyżowana na plecach i powrócona ku przodowi wiąże się na kokardę. Rękawy podług ryc. z bengaliny i aksamitu.

Suknia wieczorowa dla młodej osoby.

Rycina Nr 9 i 4.

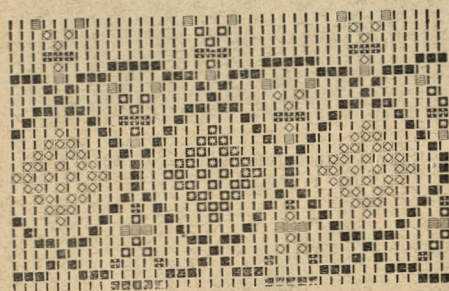
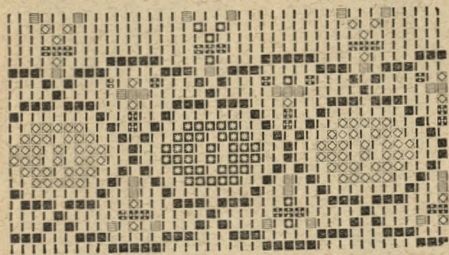
Suknia z „crêpe de chine“ koloru jasno-zielonego w deseń, przybrana krepa jedwabną tegoż koloru i koronką irlandzką koloru „crème“, naszywana złotymi blaszkami i złotem, oraz aksamitem koloru bzu perskiego. Złożona z spódniczki i stanika. Pierwsza wykonana z krepy chińskiej na podszewce jedwabnej, otoczonej pod spodem falbanką wycinaną w zęby. Wierzchnia spódniczka



Nr 30. Fartuszek z materiału wełnianego ozdobiony haftem krzyżowym (do ryc. Nr 29, 31 i 32).



Nr 29. Deseń do fartuszka Nr 30 (robota krzyżowa). ■ granatowy, ■ brązowy, ■ oliwkowy, ' tło.



Nr 31 i 32. Deseń na haft do fartuszka Nr 30 (robota krzyżowa) ■ granatowy, ■ pousowy, ■ crème, ■ brązowy, ■ oliwkowy, ' tło.

nitką. Spódniczka podszyta materiałem jedwabnym a dolny brzeg otoczony falbanką z sukna złożonego we dwoje. Pasek ozdobiony sutaszem. Stanik w rodzaju bluzy z sukna ciemniejszego ozdobiony wyłożeniem fałdowaniem z sukna jaśniejszego i takież sam napierśnik. Rękawy podług ryc.

Płaszczek z materiału „Eskimo.“

Rycina Nr 9 i 10 w Bl. Nr 40. (Krój pierw. str. tabl. Nr II, fig. 13—20).

Płaszczek z materiału „Eskimo“ z obłożeniem z skunksów. Po dopełnieniu fig. złożonych i przydłużeniu w kierunku strzałki skróconych skrajając podług fig. 13—15, 18 i 19 po dwie części. Podług fig. 20 rękawy z uwzględnieniem wystających konturów. Wykonać nacięcia w przednich częściach i powszywać kieszenie. Zeszyć plecy, boczki i przednie części i wykonać fałdę „Vatteau“, na co należy użyć część w górze szer. na 17 c. a w dole na 52 c. i pod spodem szew na szew w plecach zeszyć. Po wykonaniu tylnego spięcia i umocowaniu tegoż w plecach * na * pokryć podobnymi klapkami nieco krótszymi kieszeniami. Po wykonaniu fałd i zeszytciu kołnierza, wszyć takowy w płaszczek. Następnie podług fig. 16 skrajając trzy części. zaopatrzyć takowe w dziurki i przymocować za pomocą rogowych guzików do prawej przedniej części w miejscach oznaczonych *, do lewej przyszyć w miejscu oznaczonym * także same guziki. Rękawy zaopatrzyć podszewką z materiału jedwabnego, zeszyć i wszyć w płaszczek. Całość otoczyć podług ryc. skunksami. W razie potrzeby można nosić płaszczek zapięty pod szyją i w tym celu kołnierz przytrzymać spięciem podług fig. 16.



Nr 33. Suknia ranna formą „princesse.“ (Krój odwr. str. tabl. Nr X, fig. 53—59).

Nr 34. Szlafrok meżki. (Krój pierw. str. tabl. Nr III, fig. 21—26).

również falbanką otoczona. Stanik krótki zapinany z tyłu, wykonany z krepy plisowanej i z krepy chińskiej, pokrytej koronką, oraz szlakiem nazywanym złotem i blaszkami. Takież szlak zdobni bufiaste rękawy. Stojący kołnierz i szeroki pas z aksamitu.

Obiad wystawny weselny w jesieni.

(na żądanie).

1. Zupa „à la reine“ i „purée“ z pomidorów.
 2. Paszteciki—3 gatunki: francuskie, drożdżowe i w muszlach z rakami.
 3. Łosoś z sosem holenderskim.
 4. Cąber barani „à la sarna“.
 5. Kalafior i szparagi z konserwy.
 6. Młode indyżki i kuropatwy z kompotem z brzoskwiń.
 7. Kremy: maraskinowy, z kwiatu pomarańczy i t. p.
- Deser: owoce, ananasy, brzoskwinie, gruszki, winogrona.
Sery.
Kawa.
Likiery.

U W A G A.

Do dzisiejszego numeru dołączona się tablica krojów, odnosząca się do wzorów w tym i w przyszłym numerze „Bluszczu“ podać się mających.